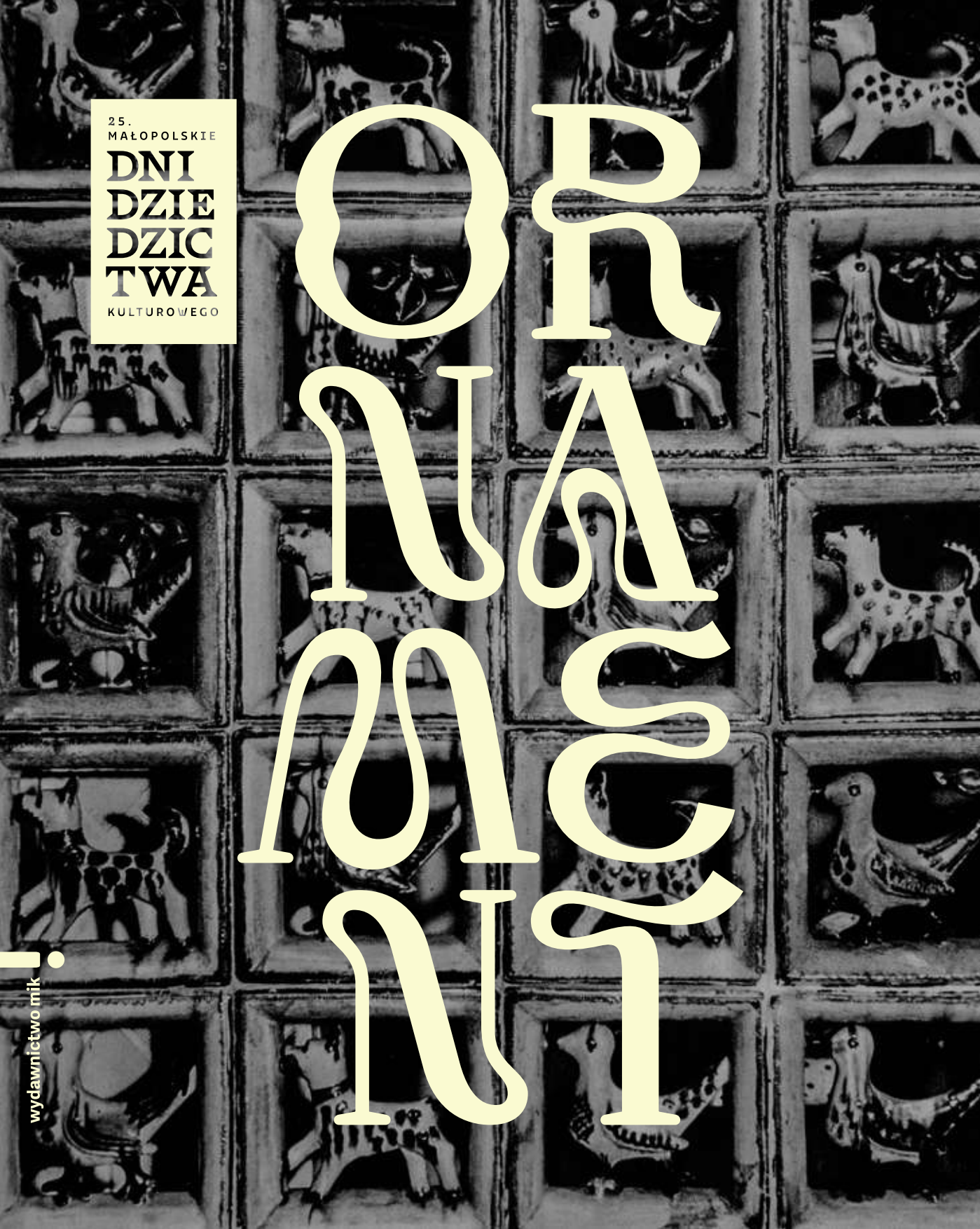
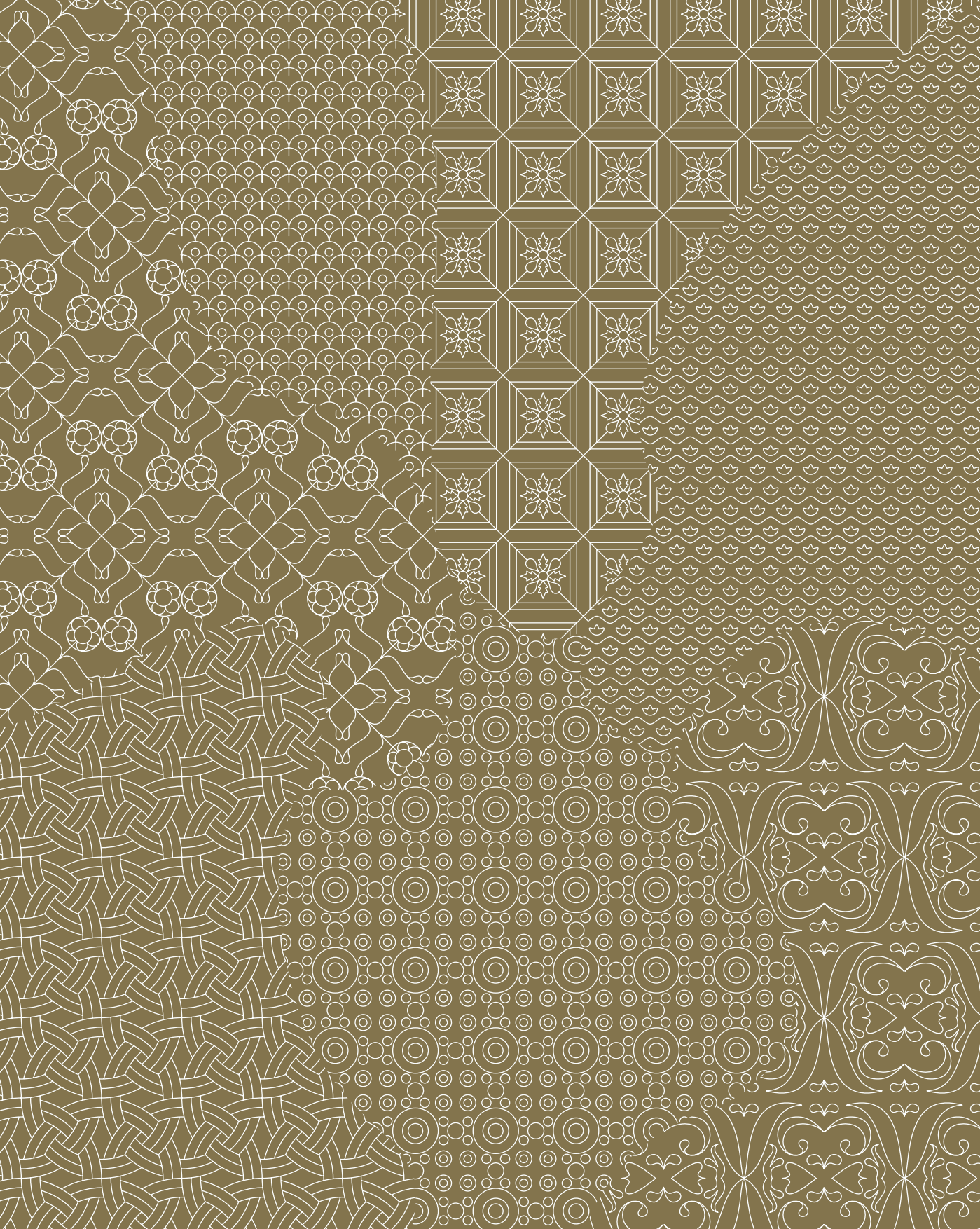


25. MAŁOPOLSKIE DNI DZIEDZICTWA KULTUROWEGO

ORNAMENTY

wydawnictwo mik




ORNAMENT

małopolski instytut kultury MIK

INSTYTUCJA KULTURY
WOJEWÓDZTWA
MAŁOPOLSKIEGO

MAŁOPOLSKA

WYDAWCA:
Małopolski Instytut Kultury w Krakowie
30-233 Kraków, ul. 28 Lipca 1943 17C
tel. 12 422 18 84, www.mik.krakow.pl
Dyrektorka: Joanna Orlik

REDAKCJA MERYTORYCZNA I DOBÓR ILUSTRACJI:
Joanna Nowostawska-Gyalókay

WSPÓŁPRACA:
Małgorzata Hordyniec, Paulina Kasprzycka, Dominika Mietelska-Jarecka, Joanna Warchoł

OPRACOWANIE REDAKCYJNE:
Ewa Ślusarczyk

KOREKTA:
Ewa Ślusarczyk, Martyna Tondera-Łepkowska

PROJEKT GRAFICZNY, SKŁAD I ŁAMANIE, PRZYGOTOWANIE ZDJĘĆ DO DRUKU:
Maciej Grochot

NA OKŁADCE:
Ścianka w dziecięcym zakładzie fryzjerskim w Krakowie, fot. Z. Tomaszewska,
za: A. Bochnak, K. Buczkowski, *Rzemiosło artystyczne w Polsce*, Warszawa 1971

Małopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego organizuje Małopolski Instytut Kultury w Krakowie. To instytucja samorządowa Województwa Małopolskiego. Jej celem jest wspieranie rozwoju sektora kultury w regionie. MIK realizuje długofalowe projekty badawcze i analizuje procesy zachodzące w kulturze. Zajmuje się też działalnością szkoleniową i edukacyjną. Ponadto promuje i upowszechnia wiedzę o dziedzictwie regionu, zachęca też do aktywnego uczestnictwa w kulturze.

ISBN 978-83-61406-93-8
© by Małopolski Instytut Kultury w Krakowie, Kraków 2023
Publikacja powstała w ramach XXV Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego.
www.dnidziedzictwa.pl

NAKŁAD: 3000 egz.
DRUK: ZAPOL Sobczyk Sp.k., Szczecin



Sabina Jakubowska

Katarzyna Kobylarczyk

Jakub Kornhauser

Radek Rak

Bartosz Sadulski

Barbara Sadurska

Dominika Słowik

25. MAŁOPOLSKIE DNI DZIEDZICTWA KULTUROWEGO

SPIS TREŚCI

DWÓR W MICHAŁOWICACH 10
Czarny bez BARBARA SADURSKA

ARBORETUM I DWÓR W LUSŁAWICACH 26
O rzeczy podwójnej, albo co się przydarzyło panu Zygmuntowi Achacemu Taszyckiemu pewnej nocy ciemnej w lusławickim dworze
RADEK RAK

CERAMIKA W ŁYSEJ GÓRZE 48
Kafelki KATARZYNA KOBYLARCZYK

KOŚCIÓŁ PW. ŚW. WOJCIECHA I MATKI BOŻEJ BOLESNEJ ORAZ DWÓR W MODLNICY 70
Z misją etnograficzną (lipiec 1884) SABINA JAKUBOWSKA

MUZEUM TWÓRCZOŚCI WŁADYSŁAWA WOŁKOWSKIEGO 90
Z wikliny powstałeś JAKUB KORNHAUSER

KLASZTOR CYSTERSÓW W MOGILE 106
Ośle uszy BARTOSZ SADULSKI

DOM POD GLOBUSEM W KRAKOWIE 120
Cesarzowi co cesarskie DOMINIKA SŁOWIK

PODZIĘKOWANIA 138

BIBLIOGRAFIA 140

SPIS ILUSTRACJI 144

Szanowni Państwo!

Małopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego już od ćwierćwiecza odkrywają przed nami piękno i niezwykłość małopolskich zabytków. Dzięki temu mieli Państwo okazję zobaczyć setki na co dzień niedostępnych miejsc, a te znane obejrzeć często w nowych, zaskakujących kontekstach. Były wspólne wycieczki na rowerach, pływanie łodziami po Wiśle, kosztowanie regionalnych smakołyków. Spotkania, rozmowy, uśmiechy.

Nie inaczej będzie w tym roku. Mam przyjemność zaprosić Państwa do udziału w wyjątkowej, bo jubileuszowej edycji Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego. Małopolski Instytut Kultury w Krakowie – organizator – poświęcił ją bogactwu małopolskich ornamentów. Odkryją je Państwo w udostępnionych do zwiedzania dworach, kamienicach, kościołach i parkach – w Lusławicach, Łysej Górze koło Tarnowa, Michałowicach, Modlnicy, Olkuszu, w dawnej podkrakowskiej wsi Mogiła u Cystersów oraz w domu Pod Globusem. Jak zawsze każdy znajdzie coś dla siebie w programie wydarzenia – zwiedzaniu i spacerom z przewodnikami i pasjonatami lokalnej historii będą towarzyszyć wystawy, kiermasze i warsztaty, a także pokazy.

Nieodłączny element Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego stanowi publikacja. Tym razem jest to szczególne wydanie, tak jak szczególna jest ta jubileuszowa edycja: siedmioro autorów, rozmaite style i wrażliwość, zaskakujące czytelnika forma i temat.

Serdecznie zapraszam do lektury i pięknej Małopolski!



Witold Kozłowski
Marszałek Województwa Małopolskiego

Ornamentem życia jest miłość

Praca w programie Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego jest pełna niespodzianek, wyzwań i nieoczekiwanych zwrotów akcji. Wymaga pasji i zaangażowania. Przedzierania się przez zaspy w środku zimy i wiosenne roztopy. Wspinania się po schodach na wysokie wieże i błądzenia po labiryntach piwnic. A wszystko to, by odkryć najbardziej fascynujące i porywające małopolskie opowieści o tym, co się działo w odległej (a czasem wcale nie) przeszłości w historycznych miejscach, które tworzą krajobraz regionu.

Od wielu już lat mamy przyjemność wyszukiwać te miejsca. Spotykać się z niezwykłymi ludźmi, którzy o nie dbają. Opracowywać punkty programu, które najlepiej pasują do danego zabytku. Chcemy je Państwu zaprezentować, pokazać, przybliżyć. Aby i Państwo mogli przeżyć ten błysk oczarowania, który my sami często przeżywamy.

Zapraszam Państwa do udziału w niezwykłej, jubileuszowej edycji. O wielkich tematach, ważnych dla rozwoju i tożsamości Małopolski będziemy tym razem opowiadać, wychodząc od ornamentu. Drobiazgi, ale i duże kompozycje – motywy zdobnicze, które wybierano, aby dodać znaczenia, ciężaru, wartości, upiększyć. Które wymagają szczególnej uważności i wrażliwości, aby mogły zostać zauważone i docenione. Bo tak łatwo je przeoczyć.

Ornamentem życia jest miłość. Czasem jest to miłość do dziedzictwa kulturowego regionu. Dzisiaj, jak co roku, chcemy się nią z Państwem podzielić.



Joanna Orlik
Dyrektorka Małopolskiego Instytutu Kultury w Krakowie



DWÓR
W MICHAŁOWICACH

Czarny bez

Barbara Sadurska

Spłonął.

Doszczętnie spalił się mój dwór. Żywym ogniem. Trwało to zaledwie kilka godzin, aż dach runął, a potem dogorywał jeszcze do pierwszego deszczu, który ugasił ogień, prawda, ale dokończył dzieła zniszczenia, bo wilgoć wniknęła w mury, które tak pieczołowicie projektowałem. Nie było czego ratować.

Nie ma dla artysty sytuacji bardziej rozpaczliwej, niż kiedy jego dzieło niszczeje, a praca, wysiłek, siły twórcze idą na marne; dla architekta – kiedy jego katedra runie, dwór spłonie. Patrzeć na dzieło moje zniszczone – to jakby kawałek duszy kto obcęgami rozżarzonymi do białości wyrywał. Nie zaznasz spokoju, biedne serce twórcy sprzed wieku!

Dwór w Michałowicach postawiłem dla Tadeusza Dąbrowskiego, który po Kołłątajach nabył mały drewniany dworek, lecz ten szybko okazał się za ciasny dla jego rodziny. Tadeusz miał przecież siedmioro dzieci! A że park był rozległy i było gdzie posadowić nowy, obszerny dom z cegły i podmurowany, stworzyłem dla Dąbrowskiego dwór na miarę skrojony. Na jego zamówienie, a dla potrzeb całej rodziny. I tak jak katedra ma odpowiadać potrzebom duchowym, tak dom, dwór ma zaspokajać potrzeby bezpieczeństwa i wygody ludzi, którzy tam będą żyć i opowiadać historię, jaka jest udziałem tych ziem. Dobrze zaprojektowany dwór to sztuka! Ma w jedną całość łączyć różne elementy, jak i rodzina z różnych jest złożona całości, i jak nasza przeszłość. Warstwa po warstwie, wiek po wieku, z oddali dopiero widać kształt jej ostateczny. Wydawać się może, że losem narodów rządzi przypadek, że dzieje nasze

to chaos, a jednak właściwa perspektywa pozwala uchwycić wątek i docenić ciągłość narracji. Pointa, nie symetria, jest najważniejszym elementem całości. Zachować harmonię, nie opierając jej na symetrii – to sztuka, która ujawnia prawdę o dziele i świadczy o wielkości twórcy. Łączyć różne i w różności szukać wspólnego – oto zadanie artysty. Opowiedzieć historię bryłą domu, cegłą, dachem, detalem, ornamentem – wyzwanie!

Dąbrowski chciał domu niebanalnego i taki mu zaprojektowałem. Średniowieczne łuki nad oknami pasują do wieży, bo wieże kojarzą się ze średniowieczem i poruszają wyobraźnię. Cegła ciemna palona i kotwy w murze przywodzą na myśl wieki minione. Jak piękna może być naga cegła, poznałem, gdym ujrzał w licznych podróżach płonący gotyk, i od tej pory sam stosuję. Ściana, otwory, belki, ornament, zwieńczenie. Czy to powstańczą, czy szwedzką kulę zatrzymał mur tego domu? W każdym razie niesie przesłanie, że dwór oprze się atakom i będzie wewnątrz bezpiecznym schronieniem. Taką daje obietnicę. Okna na dole podejmują klasycystyczny dialog z renesansową loggią i tralkami balustrady. Niech schody wychodzą na szerokie forum. Niech otwierają się na ogród. Niech ogród tworzy przestrzeń romantyczną, niech w nim będzie zaklęta tajemnica dostępna tylko dzieciom i zakochanym. Niech w tym dworze zamieszka młodość i miłość.

Podjąłem się tego wyzwania.

Poznałem całą jego rodzinę, żonę i siedmioro dzieci, bo przecież dwór budowałem kilka lat. Jakie cudowne dzieci miał Dąbrowski, jakie mądre, jakie rozważne. Zwłaszcza najstarsza Teresa, z wyobraźnią, z uduchowieniem, z ciekawością przyglądała się mojej pracy i nie przeszkadzała nigdy, lecz uważna i stosowna, zawsze się potrafiła właściwie znaleźć. Polubiłem tych ludzi, pokochałem to miejsce, włożyłem serce w ten dom. Miałem nadzieję, że przetrwa burze i zawirowania dziejowe, że oprze się zniszczeniu.

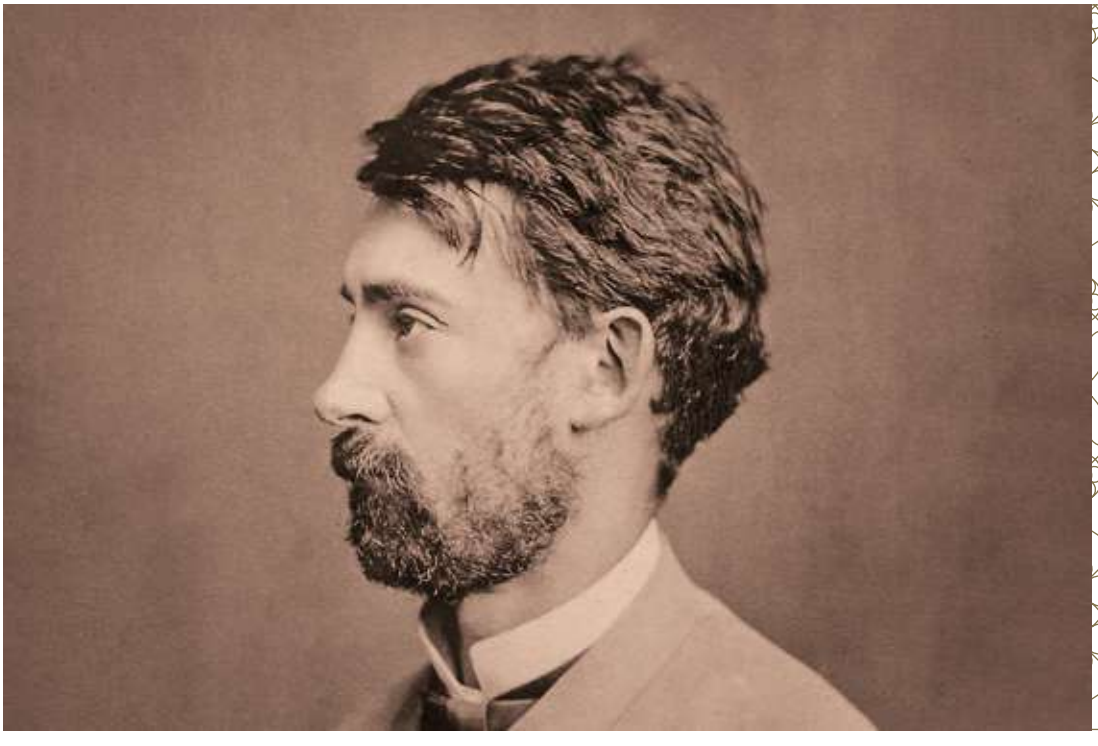
Lata całe dwór budujesz, dbasz o niego, ciepłem rodzinnym i ogniem spod kuchni ogrzewasz, otulasz dywanami, miłością nasączasz każdy pokój, o każde drzewo, o każdą roślinę w parku dbasz, sadzisz, pielisz, doglądasz, otoczenie na dziesięciolecia, na setki lat obmyślasz, a potem przychodzą obcy ludzie, odzierają z tego, co najlepsze. Ogród dziczeje. Dziczeją obyczaje. Dwór zmienia się w ruinę. Budujesz latami, a płonie jeden dzień!

Bolał mnie ten dwór spalony w Michałowicach jak żaden inny. Sterczały zwęglone belki, resztki komina oskarżycielsko celowały w niebo. Gorycz i rozpacz.

Myśl artysty trwa w jego dziele.

Dopóki ten nie sczeźnie.

Jako twórca oczyma duszy widziałem, jak dwór Dąbrowskiego dźwiga się z ruin, powstaje niczym feniks z popiołów, odradza się piękniejszy jeszcze, z wejściem szerokim, ze schodami pięknymi, z ogrodem kwitnącym! Wiedziałem, że to możliwe, przecież osobiście wizytowałem kościół św. Elżbiety we Lwowie po pożarze i zaprojektowałem plan jego odbudowy. Był rok 1904. Dobrze wiem, jak wygląda świątynia, gdy strawi ją ogień, i jak może wyglądać, gdy zachowało się to, co najcenniejsze: duch miejsca. Tak też pragnąłem, aby ktoś oddał serce dworowi w Michałowicach. Tylko kto? Marzyło mi się, żeby to byli ludzie śmiali, odważni w swoich poczynaniach, ale rozważni. Z wyobraźnią. Żeby jak Dąbrowscy kochali sztukę i nie byli nieczuli na muzykę.



Portret Teodora Talowskiego, XIX/XX w.

Żeby tu kiedyś biegała taka dziewczynka jak córka Dąbrowskiego, która w dzienniku swoim co i rusz rysowała, szkicowała, a to roślinkę, a to piórko znalezione w opuszczonym gnieździe, a to korę drzewa. Tereska, jeszcze zanim przystąpiłem do budowy dworu w Michałowicach, pisała: „Lubię w dżdżyste jesienne dni o zmierzchu spacerować w parowie koło naszego domu. Wyobrażam sobie wtedy, że spotkam czarownice albo że sama jestem jedną z nich…".

Ja też lubiłem deszczową porą o szarej godzinie opuszczać Michałowice, z daleka patrzeć, jak w oknach płoną lampy. Nie myślałem wtedy, że ten ogień, co rozświetla i ogrzewa dwór, za sto lat go strawi. I to po tym, jak tam będzie siedziba banku i Gminnej Spółdzielni. Że długo będzie stał pusty, ciemny i zimny.

I moje serce wraz z nim było ciemne i zimne. I czekałem, czekałem, aż ktoś to miejsce odkryje, ogrzeje, rozświetli, podniesie z upadku. Aż rozbrzmi dwór muzyką, szczękiem sztućców, gwarem biesiadników, śmiechem dzieci. Czekałem.



Dwór w Michałowicach w latach 60. XX w.

Cały teren zarósł krzewami czarnego bzu, który sobie ulubiłem, i duchem, sercem, umysłem byłem tu obecny. Obserwowałem ruiny i pilnowałem ich spod korzeni czarnego bzu, spomiędzy jego gałęzi. Czasem młodzi chłopcy ze wsi chodzili się tam zabawić, ktoś w końcu zawiadomił Wydział Ochrony Zabytków w Krakowie, że dwór w Michałowicach się spalił, ale nikt nie poczuwał się do odbudowy. A ja czekałem, myślą próbowałem ściągnąć kogoś, kto by takiego miejsca szukał, kto by jeździł po okolicy, po całej Polsce, po świecie i zbierał doświadczenia, chłonął przeszłość, umiał docenić i spatynowaną cegłę, i ręcznie robione kafle, każdy detal. Kto by się zachwycił synergią form, eklektyzmem stylów, ornamentem, kto by go docenił wreszcie.

Urzędnicy chcieli tu zorganizować szkołę rolniczą albo klub sportowy, ale ja ten dwór budowałem dla rodziny, do zamieszkania, dla Dąbrowskiego i jego żony, i ich dzieci. Dla muzyki, bo nad salonem – na prośbę żony Tadeusza – przewidziałem miejsce na orkiestrę, która przygrywała im w czasie uroczystszych obiadów.



Zniszczony pożarem dwór w latach 80. XX w.

Jeszcze mi w uszach brzmią mazurki i sonaty. Dwór ten budowałem dla rodziny, która kocha muzykę i ma wyobraźnię. Dla Tereski, żeby biegała i w drzewach szukała natchnienia. I chciałem, żeby ten dwór odbudował ktoś taki. Odważny.

Gdy wiosną słońce wyjdzie po deszczu, nawet ruina ze szczątkami murów i oczodołami okien wyglądać może romantycznie. Przejrzysty krajobraz roztacza się w dolinie, a powietrze jest rześkie i świeże. I w taki dzień przyjechali dużym fiatem. Spodobało mi się, że w 1985 roku mieli własny samochód, bo i ja przecież swego czasu kochałem motoryzację. Nawet moje córki prowadziły i obie wyszły za mąż za kierowców rajdowych. Kiedy sprzedały dom przy Retoryka, Wilhelm kupił bugatti C-37. I jako pierwszy sprowadził do Krakowa mercedesy i fordy.

Dobre zrobili na mnie wrażenie, ten starszy wyglądał na zapalonego kierowcę, widać było, że lubi prowadzić i odpowiednio traktuje swój wóz. Zajechali przed wejście, wysiedli, obeszli posesję. Inżynier z synem. Ten młodszy, szczupły i wysoki, schylił się, podniósł kafel z pieca, chustką otarł z ziemi.

– Trzeba ten dwór uratować – powiedział, a starszy pokiwał głową.

– Pokażemy to miejsce mamie. Jej się pewnie spodoba. Ale nie będzie to łatwe – rzekł, a ja wiedziałem, że to będą oni. Że wiedzą, co robią.

Ja ich tu już wcześniej widywałem. Przyjeżdżali pospacerować po okolicy. Oni naprawdę wiedzieli, czego chcą. Szukali takiego miejsca, takiego gniazda, które będzie siedzibą rodziny i dla którego będą mogli wiele poświęcić, ale ono im wszystko to odda z nawiązką, bo praca i wysiłek włożony z sercem stokrotne przynosi plony. Wiedziałem o tym, bo i ja w każdy swój projekt wkładałem całe siły twórcze i całe serce. I może dlatego tak mi zależało, żeby Dąbrowski był zadowolony z dworu w Michałowicach.

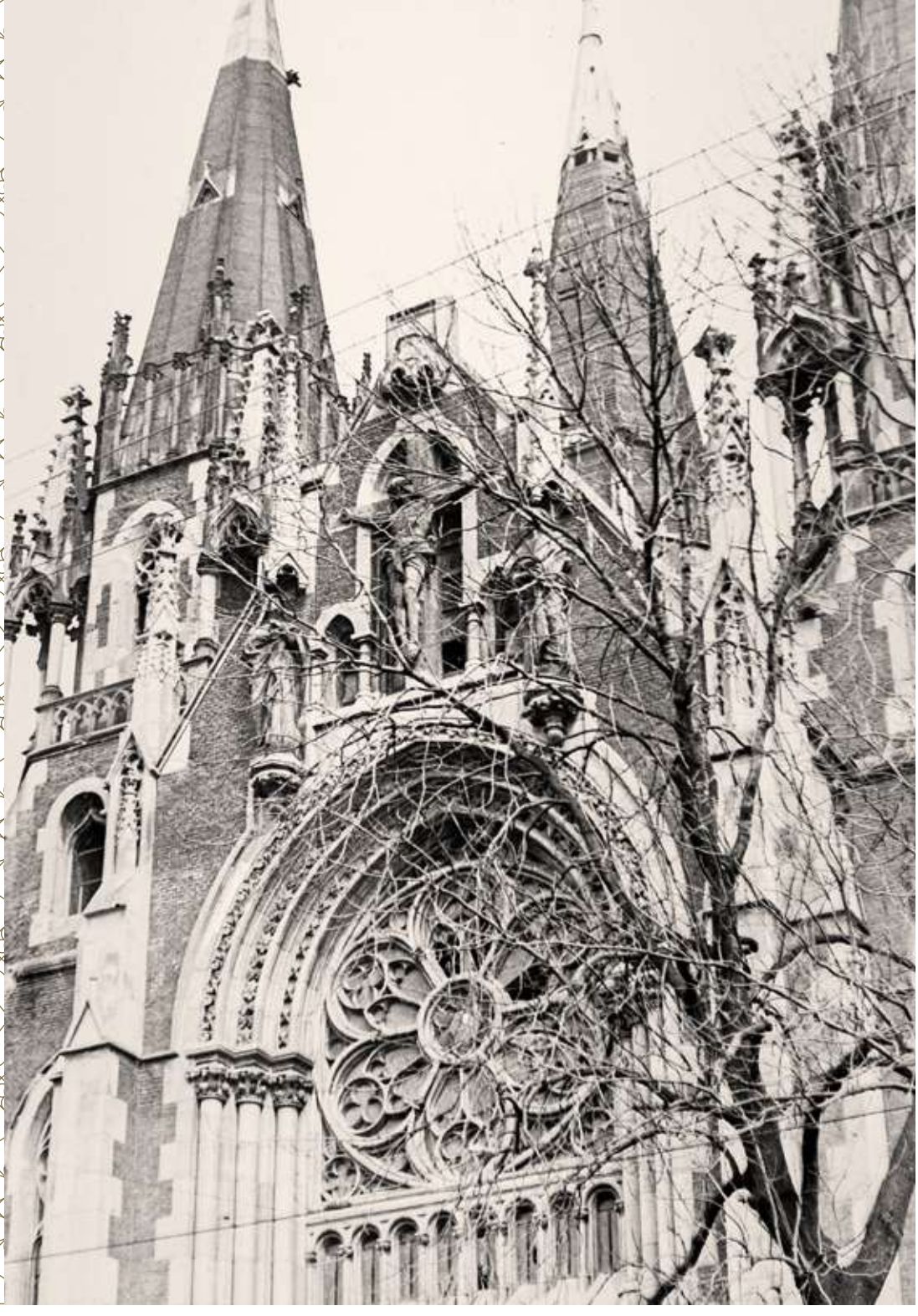
Dobrze się żyło Tadeuszowi, a kiedy umarł w 1903 roku, majątek przejął jego syn. Gdy dom ten budowałem, był jeszcze chłopcem, Tadzikiem. Potem ożenił się, miał dzieci. Wyrósł na wielkiego patriotę. Gościł w dworze polskich żołnierzy, którzy szli odzyskiwać niepodległość. I im przygrywała muzyka z chóru nad salonem? I on kochał muzykę. A ponadto udzielał się aktywnie w Michałowicach, był szanowany. Jak na ironię, na początku wieku pełnił funkcję naczelnika Michałowickiego Towarzystwa Pożarniczego i wielka szkoda, że to Towarzystwo nie dotrwało do 1979 roku. Tadzio Dąbrowski gasiłby ten pożar zapewne skuteczniej.



↑ Monika i Jacek Lorenzowie na kalenicy dworu podczas prac remontowych, lata 90. XX w.

↓ Rodzina Dąbrowskich na tle dworu w latach 30. XX w. Od prawej stoją Tadeusz i Jadwiga Dąbrowscy





Fragment fasady kościoła pw. św. Elżbiety we Lwowie zaprojektowanej przez Teodora Talowskiego, lata 80. XX w.

Szczęście, że ten duży fiat tu zajechał. I że Lorenzowie zabrali się do pracy.

Ludzie dziwnie na nich patrzyli, bo po prawdzie kupno tego miejsca to było istne szaleństwo, ale o mnie też przecież ludzie we Lwowie i Krakowie mówili, żem szaleniec i że wszystko musi być symetryczne i regularne. A co, jeśli świat taki nie jest? Jeśli historia taka nie jest? Jeśli życie człowieka nie jest ani regularne, ani przewidywalne?

Widziałem, że oni pokochali ten dom, jego fundamenty i mury. Szukali archiwaliów, opisów, fotografii. Na szczęście Dąbrowscy robili zdjęcia, a i z późniejszych czasów, po uwłaszczeniu w 1944 roku, zachowało się wiele dokumentów, które ci młodsi, Jacek z Moniką, skrupulatnie tropili, odtwarzali każdy detal nadludzkimi siłami.

Stanisław jako inżynier z wielkim doświadczeniem zdawał sobie sprawę, jak trudnego podejmują się zadania. Ja projektowałem dwór i budowałem go z tego, co miałem pod ręką, a sam przecież wypalałem i postarzałem cegły, sam tworzyłem ornamenty. I zajęło mi to kilka lat. W 1897 roku dom był gotów. Ich praca obliczona była na dziesięciolecia. Pomagałem im, jak mogłem, sercem i myślą byłem z nimi.

Dziewiętnastowieczne cegły brali z rozbiórek starych domów. Zwozili, układali przykryte brezentem w stodole, jakby to były skarby. Na jesieni wykarczowali krzaki, śmieci wywieźli w worach i odsłonili cały ten piękny teren z wąwozem, po którym lubiła się włóczyć Tereska i który pokochała inna dziewczynka spacerująca tu ze szkicownikiem, Basia.

Kiedy usunięto samosiejki i odchwaszczono ogród i park, okazało się, że rosną tam krzewy dzikiego bzu i stare derenie. Drzewa, które pamiętały jeszcze i Kołłątajów, i Wielogłowskich, i Dąbrowskich, i Pierwszą Kadrową na obiedzie w Michałowicach w 1914 roku, lata wojny i okupacji, i uwłaszczenie w 1944, Samopomoc Chłopską i siedzibę Banku Spółdzielczego, opuszczenie i pożar. Maria przyglądała się każdemu drzewu, każdemu krzaczkowi i ona orzekła, że krzewów czarnego bzu nie będą wycinać.

– Dobre mają korzenie i mocne kwiaty. Nie wycinajcie ich. Zimą mi za to podziękujecie.

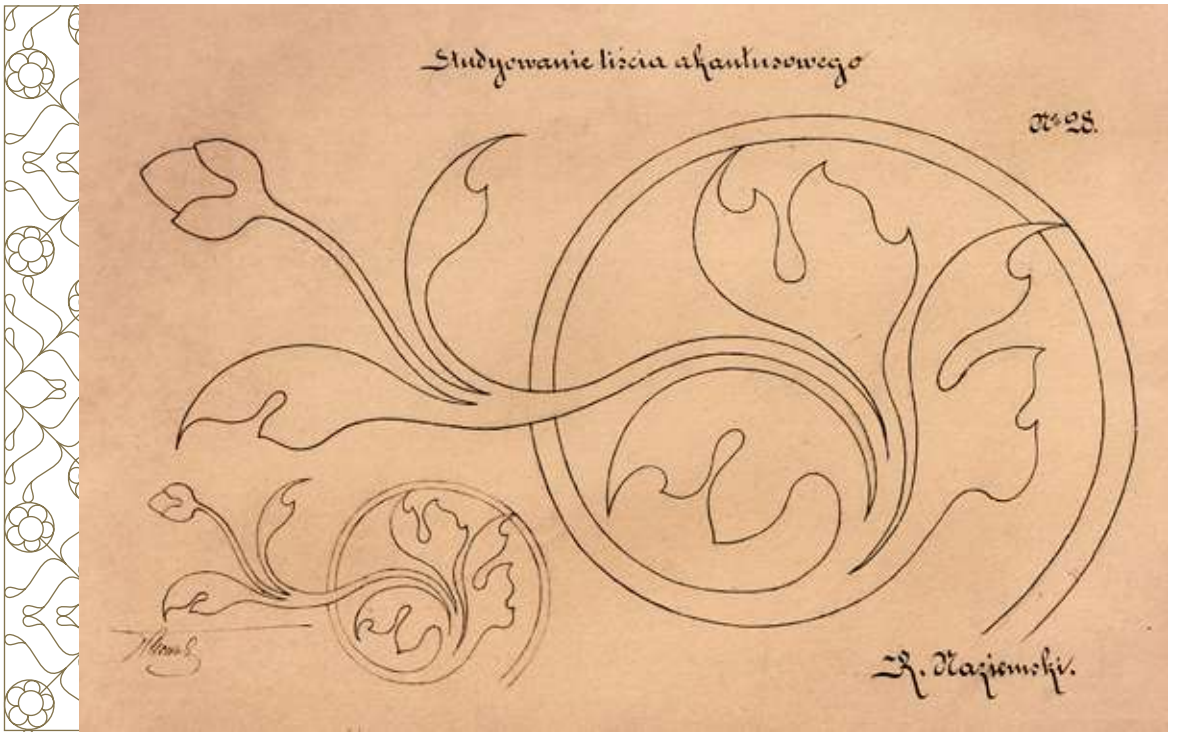
Na początku odbudowywali dwór z doskoku, ale długo się tak nie dało. Dwór wymagał ich całkowitego poświęcenia i obecności, sami to dostrzegli. Więc nadszedł taki rok, że zjechali na stałe. Sprzedali dom i mieszkanie w rodzinnej kamienicy w Krakowie, jak nie przymierzając moje córki kamienicę przy Retoryka, której przesłanie brzmiało: *Festina lente*! I oni właśnie tak: pomalutku, solidnie, cegła po cegle

odbudowywali dwór. Kupili potrzebne materiały, o które w tamtych czasach naprawdę było niełatwo. Może nawet trudniej było kupić w latach osiemdziesiątych stolarkę okienną niż Wilhelmowi bugatti w międzywojniu?

Pierwszej zimy w Michałowicach Maria otworzyła dla dzieci syrop z kwiatów czarnego bzu. Stanisławowi i Jackowi nalała po kieliszku mocnej nalewki z jego owoców.

– Na wzmocnienie – powiedziała i rzeczywiście poczułem bijącą od nich moc.

Jeździli po świecie i kolekcjonowali doświadczenia, zmysłowe obrazy, wyczuleni na detal, umiejętnie oddawali mój zamiar we dworze. Bo przecież i ja zjeździłem kawał świata! Z Wiednia przywiozłem rozmach i oddech w projektowaniu kamienic. Ale inspirowało mnie średniowiecze, gotyk, małe okna, różnokształtne wieże z podporami, kraty, ornamenty. Kompozycji architektury średniowiecznej uczyłem studentów we Lwowie i w Krakowie. Jakżebym nie mógł tego wykorzystywać w swoich projektach? A oni to podchwycili jak lotną myśl i opierając się na zdjęciach



Jeden ze szkiców uczniowskich wykonany podczas zajęć prowadzonych przez Teodora Talowskiego w Wyższej Szkole Przemysłowej z sygnaturą architekta, XIX/XX w.

i moich rysunkach, podźwignęli mury, zwieńczyli je kopułą dachu, wstawili okna, zadbali nawet o klamki i zamki w drzwiach.

A już zupełnie mnie urzekli, gdy razu pewnego Stanisław wpadł na pomysł, żeby zbudować mosteczek nad parowem, który dla Basi i Olka w zabawie był fosą obronną, a ja w myślach nazywałem go Nilem, bo od dzieciństwa w Kolbuszowej, gdzie był strumień o nazwie Nil, żywiłem niczym niewytłumaczalny sentyment do Nilu. W ogóle bardzo lubiłem tu i ówdzie wpleść jakiś motyw egipski. Bo czy nie miał racji faraon, że za życia przygotowywał sobie grobowiec? Jest w tym przewrotna mądrość i ja postanowiłem z niej skorzystać, bo skoro faraon mógł, to czemu ja bym nie mógł? I tak sobie wymyśliłem grobowiec prawie egipski. Dla siebie i żony. Śmiali się ze mnie koledzy, ale to i dobrze. Bo czy architektura musi być tak śmiertelnie poważna? Dla mnie projektowanie było szalenie radosne. Od dziecka chciałem robić coś z radością! To przecież kwintesencja życia!



Projekt własnego grobowca architekta z wykorzystaniem motywów egipskich z ok. 1897 r.



Kamienica Pod Pająkiem u zbiegu ulic Batorego i Karmelickiej w Krakowie, dom własny architekta, 1892

Oni traktowali ten dwór tak, że czułem ich radość. Stanisław i Maria postanowili zachować kaplicę, którą dla Dąbrowskich umieściłem tuż przy wieży, bo to była bardzo pobożna rodzina. Dość powiedzieć, że trzy córki poszły do klasztoru, a syn został benedyktynem. Więc ucieszyłem się, że Lorenzowie wyposażyli kaplicę w sakralne obrazy, klęcznik i fisharmonię, na której czasem grywa Jacek. Cała rodzina jest zresztą bardzo muzykalna, Stanisław i Monika grają na pianinie, Jacek i Basia na skrzypcach, choć ona akurat chyba więcej ma serca do rysunku. Tak myślałem, zwłaszcza kiedy patrzyłem na tę małą, jak chodzi po drzewach ze szkicownikiem i rysuje. Ja też przecież rysowałem i podczas podróży do Londynu, Paryża, Wiednia, Pragi, do Italii, Egiptu, Niderlandów – rysowałem, szkicowałem, notowałem. Stąd moje ornamenty, stąd detale. Kula u szczytu michałowickiego dworu – z mojej głowy, z podróży, z wyobraźni. I ta mała miała to samo co ja. Tworzyła opowieść o tym miejscu, tkała ją, jak pająk tka sieć w narożnikach dworskich, i łapała w lot wszelkie detale jak muchy i karmiła nimi swoją wyobraźnię! Spodobałby jej się dom Pod Pająkiem przy Karmelickiej. Tam na elewacji puściłem dzikie wino, w Michałowicach też zostawiłem w murze zaczepy dla pnączy, które tworzą klimat i przywodzą na myśl odległe legendy. Karmiła nimi ta mała swoją wyobraźnię. Widać to było w jej dzienniku, widać w rysunkach. I co, że miodowe drzewa były zmyślone, że opowieści o strachach okazały się nieprawdziwe? Dzieciom i artystom tyle wystarczy, by zbudować cały świat. Dla Tereski i Basi ten ogród i las były zaczarowane. Basia łapała motyle lecące do fioletowych kwiatów, fruszczaki nazywała kolibrami, wykładała słodkie miodowe ciasteczka pod dereń, żeby je zwabić na nektar. Biegała z kluczami, żeby zamykać wszystkie drzwi i okiennice wieczorem, rano budziła się przed Moniką i Jackiem, aby otworzyć dwór i wpuścić doń słońce i powietrze. Biegała z psami po całym terenie, znała każdego bażanta i zająca. I nie pozwalała ich krzywdzić. Nawet psu nie wolno było szczekać i płoszyć dzikich zwierząt. Tylko ona znała dziuplę, w której mieszkała sowa.

Jak Tereska Dąbrowska, lubiła ciemne paprocie i rozgwieżdżone niebo. „Wróciłam właśnie przed chwilą z wyprawy do ogrodu przy świetle księżyca. Czyż to nie romantyczne błąkać się przy księżycu w towarzystwie poczciwego kruczka (pieska) i przenosić się w krainie marzeń tak dla mnie ponętną" – zapisała w 1986 czy 1897 roku w swoim dzienniku. Jak to pensjonarka, słodko i ckliwie, ale czy można mieć za złe



↑ Kamienice przy ulicy Retoryka, od lewej: nr 1 Pod Osłem, nr 7 Festina Lente, 1892

↓ Fragment ulicy Retoryka z kamienicami wybudowanymi według projektu Teodora Talowskiego, 1892



dziewczęciu, że chłonie atmosferę i przetwarza ją na swoją modłę? Że w jej wyobraźni puszczyk wypatruje drogi mlecznej, a biała dama mdleje od aromatów kwitnących kwiatków, że odurza ją woń róż i fiołków? Kogo nie odurza?

Basia i Olek kręcili się, gdy ich babcia z dziadkiem i mama z tatą odbudowywali dwór, stawiali rusztowania, kładli tynki i podłogi. Maria dbała o ogród, Monika miała pod opieką park i sad. Dzieci wiosną zrywały fiołki. Basia plotła z nich wianki, Olek robił perfumy dla mamy. Fascynowały go poza tym biegające w trawie jaszczurki, ich kolory, kształty, sposób poruszania się, zwyczaje… O, jak dobrze go rozumiem! Latem babcia smażyła naleśniki z kwiatami czarnego bzu, jesienią pszczoły dawały słodki miód, a kasztanowce kasztany na ludziki. Zimą, gdy mróz rysował ornamenty na szybach robotniczych pakamer, w których mieszkali, zanim dwór się do tego zaczął nadawać, babcia gotowała dzieciom mocne gorące kakao, mama czytała baśnie Andersena o Królowej Śniegu. A dwór piękniał i coraz bardziej oczywiste się stawało, że lada dzień, lada miesiąc, przeniosą się do środka i tam zamieszkają.

Basia rysowała białe muszle ślimaków, kształty liści. Kiedy się temu przyglądałem, myślałem sobie, że widziałbym tę małą na Akademii Sztuk Pięknych albo na architekturze. A gdy w wieku czternastu lat narysowała elewację dworu, niemal tak, jak ja bym to zrobił, wiedziałem, że będą z niej ludzie.

Jej młodszy brat miał smykałkę po dziadku do budownictwa. Konstruktor, inżynier? Myślałem o nim z dużą przyjemnością, patrząc, jak się rozwija w atmosferze przesiąkniętej szacunkiem dla ludzkiej pracy.

No i tak to wyjątkowi ludzie zamieszkali w niebanalnym miejscu. Dwór podźwignęli z ruin, odrodził się piękniejszy jeszcze, z wejściem szerokim, ze schodami pięknymi, na nowo zaprojektowanymi przez architektkę, którą została mała Basia, z ogrodem kwitnącym, o który dba jej mama. Wiedziałem, że to możliwe, i pragnąłem, aby ktoś serce oddał temu miejscu, ale w najśmielszych marzeniach nie wyobrażałem sobie, że to będzie takie szczęście na nich patrzeć.

Czekam jeszcze tylko na taki wieczór, na taki bal albo uroczysty obiad, podczas którego rozlegnie się muzyka z chóru nad salonem. I podadzą nalewkę z czarnego bzu.



ARBORETUM
I DWÓR W LUSŁAWICACH

O rzeczy podwójnej,

albo co się przydarzyło panu Zygmuntowi Achacemu Taszyckiemu pewnej nocy ciemnej w lusławickim dworze

Radek Rak

א

W labiryncie nietrudno się zgubić. Nietrudno, nawet jeśli zna się drogę. Ścieżki jego mają tę bowiem dziwną właściwość, że lubią plątać się, zwijać i wodzić na pokuszenie, by niespodziewanie zakończyć się ślepym zaułkiem. Będzie w labiryncie błądził każdy. I ten, kto nie zna drogi i idzie na oślep w nadziei, że jednak jakoś wyjdzie; i ten, kto również nie zna drogi, lecz usiłuje przejrzeć zamysł stojący za tą plątaniną dróg, poznać jej wewnętrzną logikę – choć błądzi wtedy w dwójnasób, bo i w labiryncie, i w swojej głowie. Żadnej nadrzędnej myśli bowiem nie ma, jest tylko jej iluzja. Jest jeszcze ten, kto myśli, że zna drogę, bo już kiedyś przez labirynt przeszedł, ba, może nawet go zaprojektował. Ten zawsze błądzi najbardziej.

Mag dobrze o tym wie. Wydaje mu się, że zna dobrze wszystkie przejścia i zakamarki. Powstały wszak wedle jego pomysłu i sam brał udział w ich wyrysowywaniu. Ale i on czuje niekiedy, że labirynt żyje własnym życiem i pączkuje tajemniczymi odnogami. Znajome ścieżki okazują się mylne i wiodą donikąd.

Następnego dnia wszystko znów jest na swoim miejscu. Ale mag wie, że to tylko kolejna ułuda.

α

Noc jest czarna i czarne jest zasnute chmurami niebo. Miękko szumi czarna rzeka, miękko szumi czarny las. Zaprzężony w konie wóz mknie drogą, słychać tętent kopyt. Rozkołysane latarnie nie oświetlają zbyt wiele, tyle co kawałek drogi z przodu i tyle co kawałek drogi z tyłu. Tak wygląda świat i tak wygląda życie, gdy patrzeć na nie ludzkimi oczami.

W powozie człowiek w czarnych szatach trwa w cierpliwym bezruchu. Tylko palce przesuwają z wolna paciorki różańca. W bezruchu tym wyraźnie widać napięcie i pośpiech. Pasażer nie ośmieli się jednak popędzać woźnicy, by nie okulawić koni albo by powóz nie zsunął się nieopatrznie do rzeki w dole. Noc, deszcz, błoto, różne rzeczy mogą się wydarzyć. Poruszają się więc tylko palce i tylko usta. Niczego nie można przyspieszyć, niczego nie można opóźnić. Człowiek w czarnych szatach ma tylko nadzieję, że zdąży, zanim dusza starego grzesznika wymknie się po kryjomu. Wtedy za późno będzie na cokolwiek.

Za oknami powozu mknie czarna, czarna noc.

I

JWP Zygmunt Achacy Taszycki wypatruje śmierci jak niechcianego gościa. Przez długie lata mniemał, że dobrze się do niej przygotował, przedsięwziąwszy wszelkie kroki, jakie tylko były mu dostępne. A dostępne było mu o wiele więcej, niż zwykle bywa udziałem śmiertelnych. Jeszcze niedawno przy kielichu zapewniał wielmożnych kompanów o swej gotowości do spojrzenia kostusze w twarz choćby i zaraz, czym budził niekłamany podziw, osobliwie wśród pań.

Teraz, sam w komnacie, nie wydaje się wcale taki pewny swego. W kościach czuje, że śmierć ma dlań przygotowaną w zanadrzu jakąś niespodziankę. JWP Taszycki za niespodziankami nie przepadał, te bowiem rzadko bywają przyjemne. Nadto lubił on zawsze wiedzieć wprzódy, czego może się spodziewać, by móc zawczasu się przygotować. Teraz zaś nie wiedział.

O, byłaby go śmierć rycerska dosięgła w boju, jak na szlachcica przystało! Nie miałby Taszycki wtedy czasu na rozmyślania i wewnętrzne rozhowory. Trzask, prask, jeden cios szabli Moskala czy tam bisurmanina i nie ma już JWP Zygmunta Achacego Taszyckiego między żywymi. Teraz myśli, że tak byłoby lepiej. Ale wtedy myślał zgoła co innego i lepsza zdawała mu się śmierć w podeszłym wieku i we własnym łożu. Stąd też pilnował, by nie dać sposobności ni szabli moskiewskiej, ni bisurmańskiej, ni żadnej innej. Taki był i tym się szczycił.



Wnętrze dworu lusławickiego w latach 20. XX w., kiedy mieszkał tu artysta malarz Jacek Malczewski

Dwie niedziele nazad złapała JWP Taszyckiego jakaś niezwykła słabość. Piekło go zrazu nad żołądkiem i myślał sobie, że to po nazbyt obfitej proszonej uczcie albo od nadmiernie kwaśnego wina, co mu się dawniej nie raz i nie dwa zdarzało. Ale nie. Nie pomogły zioła, driakwie i nalewki na tymianku i prawoślazie. Gdy z godziny na godzinę słabość nie przechodziła, więcej, wzmagała się tak, że i tchu nie mógł złapać, przeraził się Taszycki nie na żarty i posłał po ariańskiego medyka, bo ten przynajmniej coś potrafił. Doktór zjawił się w te pędy, już po czterech godzinach, lecz w tym czasie zdążył Taszycki mimo wszystko poczuć się nieco lepiej. Samego medyka JWP zbeształ, że mu po nocy zawraca głowę, tym bardziej że Taszycki już wydobrzał i żadnego doktora mu nie trzeba.

Rychło wszak pojął, że wcale nie wydobrzał, i że nie doktora ziemskiego mu trzeba, jeno księdza. Słabość bowiem wróciła siedmiokrotnie mocniejsza, jak ten zły duch z ewangelii, co wypędzony, zaraz wraca, wiodąc z sobą siedmiu duchów złośliwszych niż on sam.

Teraz JWP Taszycki drży, kurczowo trzymając krucyfiks. Gdy spojrzy na krzyż lewym, ciemnym okiem, czuje ulgę i uspokaja się na moment. Wystarczy jednak, by spojrzał okiem prawym, błękitnym jak letnie niebo, a już nachodzą go wątpliwości i zda się, że tuzin czartów czyha u wezgłowia łoża. Choć ich nie widać, to słychać wyraźnie szelest skrzydeł i skrobanie pazurów.

Taszycki wie, że pomoc jest w drodze. Byle jeno zdążyła, byle przybyła, nim zapuka do drzwi lusławickiego dworu.

ב

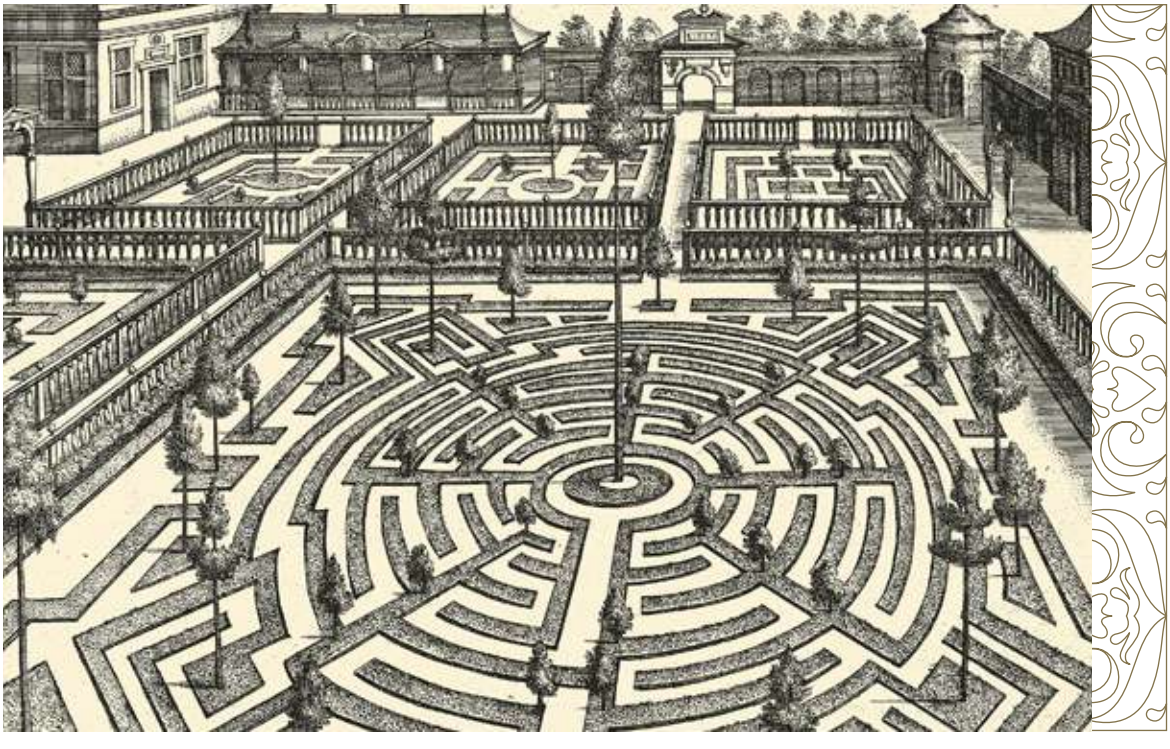
W labiryncie nietrudno się zgubić. Nietrudno, nawet jeśli zna się drogę. Można zawczasu zapoznać się z jego planem, wyryć w pamięci prawidłową drogę. Można trzymać się nici darowanej przez życzliwe osoby.

Mag podejrzewa, że to nie wystarczy. Choć labirynt wyszedł z jego głowy i spod jego ręki, to przecież i jemu samemu zdarzyło się w nim parokrotnie zgubić, zwłaszcza po dłuższej nieobecności w domu. Może wynika to z zawodności pamięci, a może właśnie z tajemnego życia labiryntu.

Kiedy magowi ukazują się aleje, których nie zna, irytacja walczy w nim z ciekawością. To w końcu jego labirynt i nie powinno w nim być miejsca na rzeczy, których nie zaplanował. Mag żyje jednak już dostatecznie długo, by wiedzieć, że dzieło zawsze będzie dążyć do autonomii i do wyrwania się twórcy.

Czasami, mijając jakąś dziką i niepasującą do zamysłu alejkę, mag zagląda w nią ciekawie. Co by było, gdyby nią podążył? Być może zgubiłby się i zatracił w tym, co już nie było jego dziełem. Być może nie wyszedłby nigdy z tej matni albo wyszedłby w jakimś zupełnie innym zakątku światów, jeśli prawdą jest to, że wszystkie labirynty są z sobą połączone. Czar zawładnąłby osobą, która go rzuciła. Czasem myśli, że tak należy. Że czynią tak nie tylko magowie i artyści, ale nawet sam Bóg, który zaplątał się we własny świat i nie może na powrót się od niego uwolnić.

Mag zagląda w te ścieżki, lecz nigdy zbyt długo i nigdy zbyt głęboko. Potem pospiesznie rusza dalej.



Ogród o kształcie labiryntu według Hansa Vredemana de Vriesa, ok. 1601

β

Noc jest czarna i czarne jest zasnute chmurami niebo. Miękko szumi czarna rzeka, miękko szumi czarny las. Zaprzężony w konie wóz mknie drogą, słuchać tętent kopyt. Rozkołysane latarnie nie oświetlają zbyt wiele, tyle co kawałek drogi z przodu i tyle co kawałek drogi z tyłu. Tak wygląda świat i tak wygląda życie, gdy patrzeć na nie ludzkimi oczami.

W powozie człowiek w czarnych szatach trwa w niecierpliwym bezruchu. Jego wzrok przemyka po zadrukowanych kartach książki. Książka bowiem na moment przenosi czytającego poza niego samego. Kto czyta, ten wychodzi z siebie i znajduje się w jakimś innym miejscu, w labiryncie zbudowanym z ludzkich myśli, a labirynt ten jest nieskończony. Jedna odpowiedź rodzi dziesiątki pytań. Nie ma z tego labiryntu wyjścia, a kto raz wszedł, ten na wieki przepadł.

Człowiek w czarnych szatach wie, że to dobre i że tak być powinno. Czyta, by nie popędzać woźnicy. Myśli jego są razem z myślami innych ludzi, których często nie ma już wśród żywych. Co zostaje zapisane, nie ginie. Nawet jeśli słowa i ich autor zostają zapomniani, to zawsze jest ktoś, kto tę samą myśl ciągnie i przypomina o niej w swych dziełach. Tak już będzie potąd, pokąd trwa ludzkość. Ludzie umierają, ale słowo nie może umrzeć. Jest w tym nadzieja na życie wieczne, choć innego rodzaju, niż zwykle obiecują w kościołach.

Za oknami mknie czarna, czarna noc.

II

JWP Zygmunt Achacy Taszycki niecierpliwie przegania służbę. Chce być sam, przynajmniej póki nie przybędzie wyczekiwany duszpasterz. Człowiek nie ma w życiu zbyt wielu okazji, by być sam z sobą. Niechże chociaż przed śmiercią ma pan Taszycki spokój!

Służba ucieka tedy, choć wiadomo, że nie dalej jak za próg. Tam będzie czekać z uszami przy drzwiach. Zaraz też Taszycki uzmysławia sobie, że ledwo wygonił żywych, a przyszli umarli. Dwór w Lusławicach pełen jest duchów.

Przychodzą z przeszłości dalszej i bliższej, a nawet z przyszłości, co dziwi tylko na początku. Pośmiertny bezczas zrównuje wszystkie dzieje, i te minione, i te, co dopiero nadejdą. Wiedziony ciekawością, wypatruje Taszycki własnego ducha, pragnąc wypytać go, czy podstęp się powiódł. Zamiast siebie samego natyka się jednak na swą matkę.

– Puśćcie mnie! – domaga się kategorycznie. – To mój syn.

Powiadają, że w zaświatach każdy wygląda na czterdzieści lat, za wyjątkiem tych, co umarli jako dzieci. Każdy jest w tym wieku, kiedy równoważą się siły ciała, umysłu i ducha. Tak tedy pani Taszycka zdaje się młodsza od swego syna, lecz ten i tak kuli się jak pacholę pod jej spojrzeniem.

– Przysięgałeś mi – rzecze matka. Zygmunt spodziewa się wyrzutów i miotania gromów samym jeno spojrzeniem, bo JWP Taszycka zapamiętała była w gniewie jak lipcowa nawałnica, po której Dunajec podnosi się i zabiera z sobą domy i gumna, ludzi i chudobę, wszystko.

Ale tym razem głos matki jest cichy i pełen żalu, a to znacznie gorzej.

– Jak tam jest, pani matko? – pyta Taszycki niepewnie. – Kto ma rację, my czy oni? Ach, jakby człowiek wiedział, to nie musiałby takich straszliwych dokonywać wyborów!

– Przysięgałeś mi, że wiary prawdziwej dochowasz.

– Ach, pani matko. Dochować wszak dochowałem. A tamten chrzest to tylko dla oka, aby mnie z godności nie zdjęto.

– Takie to ma być dochowanie? Wyjrzyj za okno. No, wyjrzyj. Co to za budynek? Poznajesz?

– Zbór – mruczy Zygmunt Achacy, nie ruszając się z miejsca, nie ma bowiem na to siły. I tak wie, że matce chodzi o dwukondygnacyjny dom, stary, lecz piękny.

– Zbór. Dom modlitwy. I drukarnia tam była, wiem dobrze, a w izbie na piętrze mieszkał Minister Faust. I cóżeś ty z tego zboru uczynił? Lamus.

– Taki był czas historyczny. Za matuli czasów prościej było.

– Żadna sztuka wiary dochowywać, gdy wokół dobrze się dzieje.

Myśli sobie Zygmunt, że łatwo matuli tak mówić, bo jej samej za wyznawaną wiarę nie grożono ni utratą majątku, ni rycerskiej czci. Nic jednak nie mówi, bo Taszyckiej i za życia nikt nie przegadał. No, może prócz synowej. Tak to często bywa.



Les Sociniens. — Le peuple de Cracovie, irrité contre les impiétés de Fauste Socin, brûla tous ses livres abominables sur la place publique, et, ayant arraché de son lit le novateur, l'obligea à assister à la destruction de ses écrits.

Faust Socyn zmuszony do uczestniczenia w paleniu swoich książek

– A mówiłam ci, z dobregom przestrzegała serca, bo któż jak matka: nie bierz ty tej Hanki Czermińskiej, nie bierz papistki. Tak jak prorocy przestrzegali Żydów, by trzymali się z dala od poganek. Gdzie byś ty jednak matki usłuchał. Wiadomo, że młodego nie rozum, wiara i dobre obyczaje, ale insze u niewiast grzeją przymioty. I co ci teraz po nich?

– Pani matko.

– Nie panimatkuj mi. Rozum, wiara i dobre obyczaje na całe życie by zostały. Gdybyś mnie posłuchał, nie stałby zbór lamusem.

– A niechby stał i gospodą! Byłoby jeszcze zabawniej! – Spośród skłębionych duchów wyłoniła się niespodzianie JWP Hanna Taszycka de domo Czermińska. Niewysoka i ujęta czupurnie pod boki, jak zwykle nie wahała się postawić się świekrze. Nie chcąc nigdy brać udziału w sprzeczkach obu niewiast, Zygmunt Achacy zwykł zamykać się w bibliotece i zgłębiać księgi, które zgromadził był w Lusławicach Faust Socyn, herezjarcha z rodu papieży. Mnogie te księgi roznieciły niepokoje w głowie i sercu Taszyckiego, i wiele z ich lektury wynikło potem zamętu.

– Hanka, daj pokój.

– A co, źle mówię? Toż to przecie stodoła, nie żaden kościół. Chyba że heretycy po stodołach lubią się modlić, bo skoro wiara kocia, to i myszów oni pewnie łakomi.

Zygmunt, choć nieco urażony, musiał jednak przyznać, że i w nim surowa skromność ariańskiego zboru budziła raczej wstyd niż dumę, zwłaszcza wtedy, gdy zachodził do katolickich świątyń. Tam, gdzie wysokie sklepienia malowano w gwiazdy, słońca i księżyce, a ołtarze spływały złotem, prawdziwie czuło się Boży majestat i moc. Bóg katolików był tłusty, mocny, krzepki. Śmiał się gromko, a hufce sił niebieskich i ziemskich tylko czekały na jego skinienie. Zaiste, król.

– Chrystus urodził się w stajence i nie była mu ona nadto ciasna – odparła starsza Taszycka z godnością. – Dlatego i Socyn żył ubogo.

– Urodzić to Chrystus może i się urodził, ale w niej przecież całego życia nie spędził – wypaliła młodsza Taszycka. – Po drodze podobno został nawet królem, szkoda tylko, że żydowskim. Mógłby przecież polskim. A Socyn, wasz papież, żył w jednej izbie, bo nie miał gdzie. Gdyby mógł w pałacu, żyłby w pałacu. Taka prawda.

– Pomieszanie z poplątaniem, dziecko.

– Pomieszanie z poplątaniem to jest, pani matko, w głowach tych, co to by ciągle książki czytali. Ba, nie dość, że czytali, to jeszcze pisali. Od tego tylko człowiek głupieje. Co widać nie tylko w polskiej wiarce, gdzie Czechowic sobie, Budny sobie, a Socyn sobie, ale i u wszystkich następców Lutra. Nic, tylko cięgiem piszą i piszą. I taki pożytek mają z tego pisania, że gdzie lutry dwa, tam sekty trzy. Katolicy żadnych książek nie potrzebują.

– Idźcie już brzęczeć gdzie indziej, dajcie mi umrzeć w spokoju – stęknął Zygmunt, zerkając prawym okiem na jedną, a lewym na drugą i zastanawiając się, czy milsze mu ariańskie wieczności z nieustannie obrażoną matką, czy katolickie życie wieczne u boku żony, której języka nic nie mogło powstrzymać. I co też on najlepszego uczynił, godząc się na obie. Może dlatego, że dla katolików był katolikiem, a dla arian – arianinem. Nie wie jednak Taszycki, kim był dla samego siebie. Teraz najmilszy zdałby mu się jakiś cichy zaświat, gdzie nikt by do niego nie mówił i niczego odeń nie chciał.

Przemknęło mu przez myśl, że ni matka, ni żona nie wyglądały, jakby je nagle wyjęto z jakichś infernalnych czeluści. Byłoż więc możliwe jedno niebo dla braci i sióstr polskich, a wtóre dla papistów? Czy i piekła są dla nich odmienne? Ta świadomość napawa JWP Taszyckiego lękiem. Gdy bowiem wspomni on swoje pakty i układy, ogarnia go drżenie o swą duszę.

ג

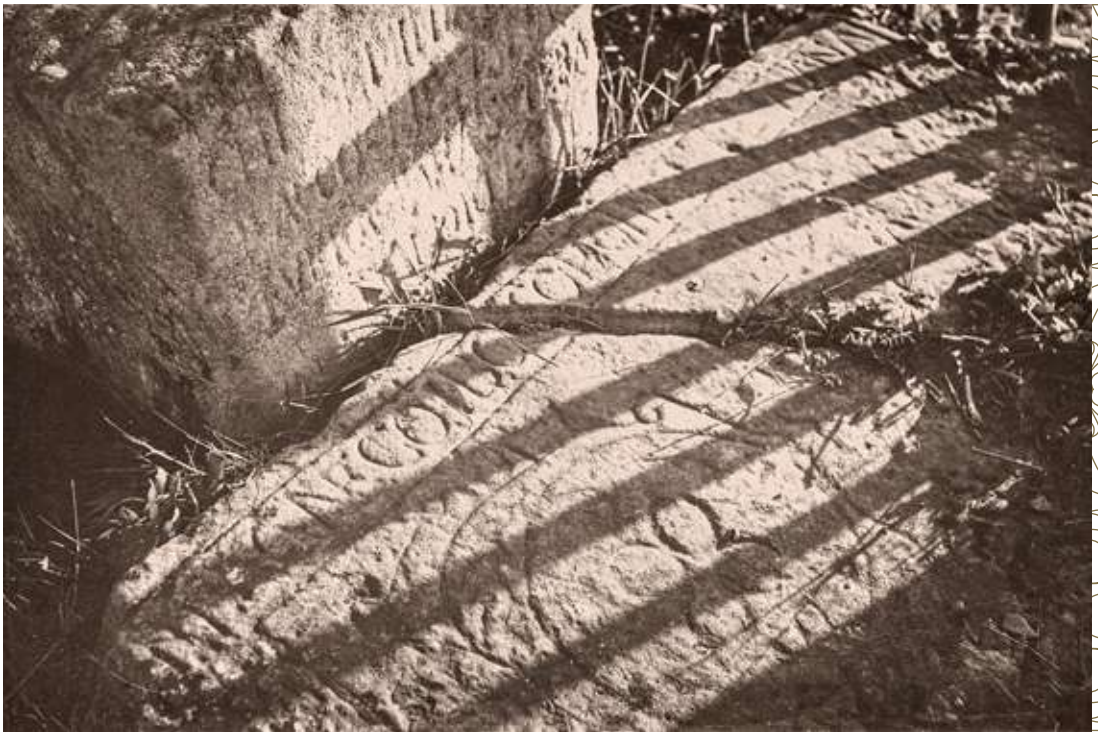
W labiryncie nietrudno się zgubić. Nietrudno, nawet jeśli zna się drogę. Lepiej też do labiryntu chodzić samemu. We dwoje znacznie trudniej odnaleźć wyjście, bo każdemu wydaje się, że lepiej zna drogę. We trójkę zaś staje się to niemal niemożliwe. Tak należy czynić, jeśli chce się odnaleźć wyjście.

Mag jest mądry i wie, że nie zawsze chodzi o to, by wyjść z labiryntu. Niekiedy samo błądzenie jest celem. Wtedy towarzystwo bywa przyjemne. Dobre towarzystwo, takie, w którym dobrze się rozmawia i jeszcze lepiej milczy.

Dlatego mag lubi zagłębiać się w kręte ścieżki o zmierzchu. Wtedy istnieje największa szansa, że dołączy doń szara dziewczynka, którą nazywa Dorotką. Dorotka ma

lat dziesięć albo coś koło tego, i od wielu lat nie postarzała się ani o jeden dzień. Niekiedy mag zastanawia się, czy i on któregoś dnia będzie mógł się tak przechadzać bez końca, i ile lat będzie wtedy miał. Zdaje się, że czterdzieści. Tyle że w przeciwieństwie do Dorotki wolałby świt, nie zmierzchanie.

Dorotka ma wiele do opowiedzenia, bo często widuje wiele ciekawych rzeczy, umykających zwykle innym ludziom. Na przykład czarne postacie bez twarzy, które noc w noc przeczesują rzekę niczym dawni poławiacze złota. Nie złota jednak szukają, a kości. Gdy znajdą choćby najmniejszy kawałek, niosą go w uroczystej procesji i składają na dawnym ariańskim cmentarzu, w szczerym polu, bo też i od dawna już żadnego takiego cmentarza nie ma. Kiedyś był, lecz w czas zarazy powiedziano im, że to obraza boska, by kości heretyków leżały w ziemi, i że to z tej przyczyny Bóg zsyła różne plagi i cierpienia. Wykopano tedy kogo się dało i wrzucono prochy do Dunajca.



Lusławice, płyta na grobie Fausta Socyna

Mag pyta Dorotkę, czy pomogło. Najwyraźniej zadziałało, skoro zaraza minęła. Ale i tak cienie muszą teraz zbierać ludzkie prochy, aż pewnego dnia same obrócą się w proch. Co nie nastąpi nigdy, bo dla nich nie ma już czasu, tylko oni tego nie wiedzą. Nie ma czasu, jedynie labirynt.

γ

Noc jest czarna i czarne jest zasnute chmurami niebo. Miękko szumi czarna rzeka, miękko szumi czarny las. Zaprzężony w konie wóz mknie drogą, słuchać tętent kopyt. Rozkołysane latarnie nie oświetlają zbyt wiele, tyle co kawałek drogi z przodu i tyle co kawałek drogi z tyłu. Tak wygląda świat i tak wygląda życie, gdy patrzeć na nie ludzkimi oczami.



Dwór w Lusławicach podczas świętowania pięćdziesięciolecia twórczości artystycznej Jacka Malczewskiego

Do lusławickiego dworu już niedaleko. Pasażer wozu, cały w czarnych szatach, bardziej się tego domyśla niż widzi, bo na zewnątrz tylko sieczona deszczem ciemń. Jadą jednak już przecież bardzo długo, tak długo, że zaczyna wątpić w celowość swej misji. Śmierć niechybnie dojedzie przed nim, a pana Taszyckiego zastanie pogrążonego we śnie, z którego nie ma przebudzenia.

Myśl ta zaraz ulatuje jak wrona spłoszona z kalenicy. Bo prócz zmysłów jawnych dano człowiekowi również różne zmysły ukryte, wśród nich ten, często ignorowany, który mówi nam, gdy odchodzi bliska osoba. Człowiek w czarnych szatach wie tedy, że jeszcze ma czas, choć bardzo mało, niewiele więcej niż nic.

Czy to się wydaje, czy w szumie deszczu słychać tętent innych kopyt, mlaskanie błota pod kołami innego wozu?

Za oknami mknie czarna, czarna noc.

III

JWP Zygmunt Achacy Taszycki mruży jedno oko i mruży drugie, każde innej barwy. Światło świecy drży i kołysze się od przeciągu. Denerwuje ono pana Zygmunta, który o każdy oddech musi teraz walczyć, wyszarpując go z kostropatych rąk śmierci. Lęka się jednak, że kiedy i ten płomyk zgaśnie, śmierć przyjdzie po cichu i nie zdąży nawet spojrzeć jej w twarz. Wszystkie duchy odstąpiły już pana Taszyckiego i wiszą u powały niczym nietoperze.

Teraz wydaje mu się, że źle postąpił, że tak nie należy, i nie może to wszystko skończyć się dobrze. Zawsze chwalił sobie swój spryt i zapobiegliwość. Leżąc z krucyfiksem w jednej dłoni i Biblią w drugiej, żałuje jednak swej przebiegłości. Było mu się zdecydować, było wybrać jedno albo drugie, krzyż albo księga. Może warto by postawić na krzyż, bo to z ksiąg przecież wzięły się wszystkie panazygmuntowe dylematy, to w księgach znalazł Taszycki swą zgubę.

Jeszcze kiedy rezydował w Lusławicach czcigodny minister Faust Socyn, którego złośliwi przezywali papieżem polskiej wiarki, zgromadził u siebie w izbie ksiąg niezliczone mnóstwo. Taki to bowiem był ten lusławicki papież, że w jednej mieszkał izbie na pięterku zboru razem z tyloma książkami, że snadnie można by rzec,

że mieszkał w bibliotece, a papieski jego dwór składał się w dużej mierze z pająków, myszy i nietoperzy.

Socyn chętnie się swymi księgami dzielił, w tym jednym dziełkiem *De naturae mirabilis*, mającym rzekomo być apendyksem do którejś z większych prac Franciscusa Patriciusa, prawdopodobnie jednak był to apokryf popełniony przez któregoś z jego uczniów. Tam to natknął się Taszycki na sugestię, że istnieją zwierzęta, osobliwie koty, które Bożym zamysłem dziwnym a niepojętym składają się z dwóch kotów.



Portret szlachcica z motywem labiryntu na piersiach, Bartolomeo Veneto, ok. 1510–1515

Tak oto, gdy środkiem pyska i głowy, i w ogóle wzdłuż ciała takiego kota widać biegnącą linię, po której jednej stronie zwierzę ma odmienne umaszczenie niż po drugiej, możemy mówić o dwóch kotach, odrębnych, lecz w jednym ciele. Zdarzają się również podobne chimery u koni, choć nieporównanie rzadziej; JWP Zygmunt Achacy Taszycki taki dziw natury widział tylko jeden jedyny raz, u Janusza Radziwiłła na Litwie. Koty zaś takie plątały się nawet po obejściu w Lusławicach.

Wpatrywał się wówczas pan Taszycki długo w lustro, aż się zeń żona śmiała, że białogłowich nabrał obyczajów. Ale on wpatrywał się to w jedno swe oko koloru ciemnego piwa, to w drugie, zupełnie niebieskie.

Zapytywał pana Socyna, czy mogą w ludzkim ciele mieścić się dwie dusze, a ten odpowiadał ani tak, ani nie, powołując się na takie dzieło albo na inne. Zasadniczo zalecał sceptycyzm, bo takie mnożenie osób w jednym bycie zbyt mocno pachniało mu trynitaryzmem. Ale Taszyckiemu to wystarczyło. Znalazł potwierdzenie tego, co czuł sam w sobie od dawna, i odpowiedź na wszelkie duchowe rozdarcia.

JWPP Zygmuntów Achacych Taszyckich było tedy dwóch.

Niezwłocznie podjął pan Taszycki (nie wiadomo który, może obaj naraz) odpowiednie kroki. Skoro jedną duszę ma ariańską, a drugą katolicką, to któraś musi przepaść na wieczne potępienie – mniejsza która, ważne, by nie obie naraz. A skoro obie strony obiecują wielce przekonująco zbawienie swym wyznawcom, to dlaczegóżby nie miał on jednego i drugiego zbawienia jakoś sobie zapewnić. JWP Zygmunt nie zwykł zaprzepaszczać żadnej szansy darowanej mu przez życie.

W pewną listopadową noc, gdy deszcz siekł i wilgny ziąb sięgał do samych kości, podpisał Taszycki dwa dokumenty. Nie musiał krwią, jak w starych baśniach. Wystarczył zwykły inkaust i pieczęć rodowa.

Zapisał duszę swą na wieki wieków Bogu w Trójcy Jedynemu, Jemu cześć i chwała po wszystkie wieki wieków, amen. Świadkiem był mu pewien katolicki ksiądz z Biecza, bardzo czarny. Taszycki uradował się, że akurat z Biecza. Miasto bowiem od królałokietkowych czasów trwało wiernie przy koronie, a wiadomo, że w Polsce korona i krzyż to jedno.

Zapisał duszę swą na wieki wieków Bogu Jedynemu, którego nikt nigdy nie widział, jak jest zapisane, amen. Świadkiem był mu pewien polski brat z Melsztyna, bardzo czarny. Taszycki uradował się, że akurat z Melsztyna. Zamczysko bowiem

od czasów husyckich trwało na straży wolnej myśli i wolnego sumienia, i strzegło drogi, którą do ariańskiej szkoły posyłano synów małopolskiej szlachty. Bo nad Dunajcem na jednego katolika przypadało dziewięciu arian, mimo że zewsząd napierała już czarna zaraza.

Odjechali potem obaj w noc, nie odzywając się do siebie, pierwszy w lewo, drugi w prawo, obaj jednako godnie opłaceni za swe świadkowanie. Już wonczas czarne, czarne myśli naszły pana Taszyckiego, obojętnie w ilu by nie był osobach. Zdusił je jednak i skutecznie przekonał samego siebie, że postąpił słusznie, a nade wszystko sprytnie.

Teraz zaś, przewracając się z boku na bok i jęcząc w półmroku swej duszy, wyczekuje przybycia do dworu dwóch gości, jednego spod znaku krzyża, drugiego spod znaku księgi. Niechby już przybyli, niechby ujęli jego dłonie, jeden prawą, drugi lewą, niechby już Taszycki dowiedział się losu obu swych dusz.



Portret Fausta Socyna, miedzioryt Lamberta Visschera, 1668

Są już! Słychać z podwórza tętent kopyt. Czy obaj przybyli, czy tylko jeden? Trudno wyznać, wszelkie głosy dochodzą jakby zza zasłony, jakby z ogromnej dali. Daj Boże, żeby przybyli obaj i obie dusze Taszyckiego poprowadzili sobie tylko znanymi drogami ku zbawieniu.

Mierzwi się półmrok w stopach łoża. Duchy poruszają się niespokojnie u powały. Oto bowiem ktoś jeszcze zjawia się w pokoju. Zjawia się, choć drzwi są zamknięte, a za progiem czeka służba.

– Kto tu? – chrypi Taszycki. A szara dziewczynka uśmiecha się tylko doń jakoś tak tajemniczo.

– Dorotka.

– Dorotka?…

– Dorotka Radziwiłłówna.

– Nie znam cię. Też jesteś duchem?



Tezeusz i minotaur w labiryncie, Edward Burne-Jones, 1861

– Jeszcze się nie urodziłam. Ale na pewno będę. Tu nie ma czasu.
– Tu? Gdzie?
– W labiryncie. Powinien się JWP pospieszyć. Oni już przyjechali.
– W jakim… znowu… labiryncie?
– Tym, co już tu jest, i tym, co dopiero będzie. Tam nikt pana nie znajdzie.

ז

W labiryncie nietrudno się zgubić. Nietrudno, nawet jeśli zna się drogę. Może dlatego, że każdy przez całe życie buduje własny labirynt. Buduje go po to, by nigdy z niego nie wyjść.

Mag uświadamia to sobie jednego dnia, gdy myli go znajoma ścieżka. Wydaje się, że podążał nią niezliczone razy, że mógłby bez trudu wskazać na mapie jej przebieg. Ale to wcale nie jest znajoma ścieżka. Jest tylko do niej podobna. Mag błądzi i błądzi. Usiłuje kierować się słońcem ponad listowiem, lecz niebo jest szare i zasnute chmurami, blask słońca nie przedziera się żadną szczeliną, nie widać go spoza nieskończonej burości. W pewnym momencie mag pyta samego siebie, czy to wiosna, czy to jesień, bo czasami trudno odróżnić jedną od drugiej. Pamięć wymyka się spomiędzy palców. Przez moment musi sobie mag przypominać nie tylko, jaki jest czas, ale i w jakim miejscu się znajduje, a nawet – kim sam jest.

Może i rację ma Dorotka, mówiąc, że nie ma czasu. Jest labirynt.

δ

Czarne, czarne wozy zajeżdżają przed lusławicki dwór. Służba już wygląda ich z daleka. Dwaj mężczyźni w czarnych strojach spotykają się na ganku. Wymieniają zdawkowe grzeczności, nic więcej ponad to, co niezbędne. Nie wydają się zaskoczeni swoją obecnością, choć rzecz jasna trudno posądzać ich o nadmierną życzliwość. Może to ci sami ludzie, którzy niegdyś świadkowali JWP Zygmuntowi Achacemu Taszyckiemu przy podpisywaniu jego zobowiązań, a może to zupełnie inni ludzie.

Są tylko do tamtych podobni. Ich oblicza nie mają wieku. Jeden w sutannie, drugi w czarnym kapeluszu, istny Niemiec.

Prowadzą ich do sypialni JWP. Po drodze mijają szarą dziewczynkę, potrząsającą radośnie drewnianą szkatułką. Coś w niej rzegocze, jakby orzech czy kamyk.

– Spóźnili się waszmościowie. Tu mam jego duszę i ciało.

Ksiądz przepędza ją kapeluszem niczym natrętną muchę. Spieszy się. Co mu się będzie jakaś dziewka pod nogami pałętać.

Sypialnię zastają pustą. Zygmunta Taszyckiego ani śladu. Rzucają się obaj zdzierać pościel, zaglądać pod łóżko, do szafy i do skrzyni. Spoglądają po sobie, a potem obaj, cisnąc się jeden przez drugiego, biegną z powrotem przez gabinet i sień, i pokoje gościnne, a nawet służebne. Lecz szarej dziewczynki nigdzie nie znajdują. Nie znajdują i Taszyckiego.

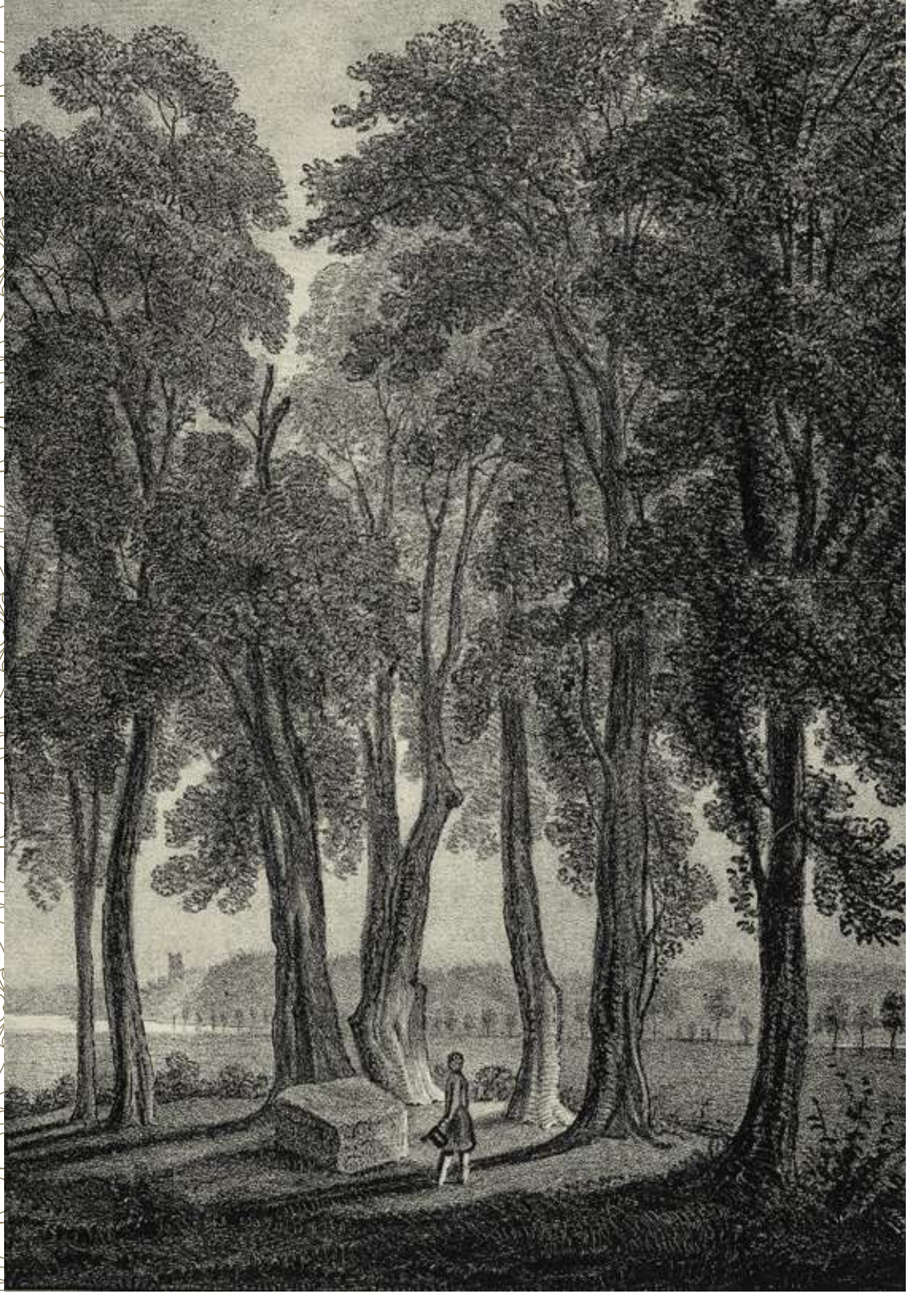
Później ten i ów we dworze szeptał, że gdy księdzu podwinęła się sutanna, dało się dostrzec kudłate kopyta, arianinowi nogi pod pludrami wyginały się zaś w dziwną stronę, niczym kurze łapki. Ale wiadomo, że to tylko takie gadanie.

Niczego nie znalazłszy, obaj zawinęli się i odjechali jak niepyszni, jeden w lewo, drugi w prawo, w czarną, czarną noc.

ה

W labiryncie nietrudno się zgubić. Nietrudno, nawet jeśli zna się drogę. Ścieżki jego mają tę bowiem dziwną właściwość, że lubią plątać się, zwijać i wodzić na pokuszenie, by niespodziewanie zakończyć się ślepym zaułkiem. Będzie w labiryncie błądził każdy. I ten, kto nie zna drogi i idzie na oślep w nadziei, że jednak jakoś wyjdzie; i ten, kto również nie zna drogi, lecz usiłuje przejrzeć zamysł stojący za tą plątaniną dróg, poznać jej wewnętrzną logikę – choć błądzi wtedy w dwójnasób, bo i w labiryncie, i w swojej głowie. Żadnej nadrzędnej myśli bowiem nie ma, jest tylko jej iluzja. Jest jeszcze ten, komu wydaje się, że zna drogę, bo już kiedyś przez labirynt przeszedł, ba, może nawet go zaprojektował. Ten zawsze błądzi najbardziej.

Mag dobrze wie, że w tym miejscu wszystkie ścieżki są splątane i przeszłość daje o sobie znać w najmniej oczekiwanym momencie. Jakby czas nie istniał naprawdę,



Grobowiec Fausta Socyna, litografia, 1847

tylko był czymś umownym. Czymś, co ułatwia ludziom załatwianie wielu ich spraw, ale nie do końca przynależy do naszego świata, bo są na ziemi miejsca wyjęte spod jego władania.

Gdy po raz kolejny zjawia się Dorotka, mag pyta:

– Naprawdę schowałaś pana Taszyckiego do tej szkatułki?

– Było mu tam całkiem wygodnie. To bardzo duża szkatułka.

– I trzymasz go tam nadal?

– Jak to, nie pamiętasz? Zamienił się w nasionko tulipanowca. Dam ci je za wiele, wiele lat, gdy będziesz już bardzo stary. Tak stary, że być może nie będziesz mnie wcale pamiętał. I zasadzisz to nasionko przed dworem, a potem wyrośnie z niego drzewo takie wielkie i takie piękne, że strach. Później przyjedziesz do tego miejsca po raz pierwszy i kiedy ujrzysz tulipanowiec, będziesz już wiedział na pewno, że tu będzie twój dom i że zostaniesz tu na zawsze. Naprawdę tego nie pamiętasz?

– Teraz, gdy o tym mówisz, wydaje mi się, że tak.



CERAMIKA
W ŁYSEJ GÓRZE

Kafelki

Katarzyna Kobylarczyk

Nocami obie lubiłyśmy głaskać gładką skórę kafelków. Wymykałyśmy się z pokoju cicho, tak żeby nikt nie wiedział, i sunęłyśmy korytarzami. Nie potrzebowałyśmy światła. Przesuwałyśmy palcami po szkliwie, wyczuwałyśmy wypukłość linii: kogucików i kurek, wieńców i rozet, i ryb. Znałyśmy je na pamięć, czytałyśmy jak hieroglify. Ja dotykałam ścian, gdy powoli wspinałyśmy się w górę, a moja siostra, gdy schodziłyśmy ku piwnicom, w dół. Ja lewą, ona prawą dłonią. Chodziłyśmy cichutko po schodach i trzymałyśmy się za ręce.

Nikt nas nigdy nie widział, nikt się nie dowiedział.

Gdy wychodziłyśmy, Łysa Góra spała za mrocznymi oknami. Wielki gmach szkoły wznosił się nad wsią jak Wawel i tylko czasem szosą od Sufczyna, tą samą, którą wytrasował jednoręki Sarlej ze Szczepanowic i przeciwko której Sadzina Marcinowa położyła się krzyżem w ziemniakach, przemknęły światła samochodu. Wójt Kural cisnął na bok lagę „pieprzówkę", złapał Sadzinę za nogi i pociągnął po zagonach, nie dbając o to, że zadziera jej spódnice, i cedził przez zęby: „Ty trucizno!". Moja siostra chichotała i musiałam dać jej kuksańca, żeby nie pobudziła śpiących. Pociągnęła mnie po schodach w dół. Szłam za nią, muskając kafelki: koguciki i kurki, wieńce i rozety, i konie.

*

W Łysej Górze jadło się ziemniaki i kapustę, i żur. Zaciągało się długi, wyjeżdżało za chlebem, soliło „bydlęcą" solą i nie wygaszało na noc żaru w popiele, żeby oszczędzać zapałki. Ludzie mieli tu dużo dzieci i mało ziemi. Ziemia nie chciała ich wyżywić. Była ciężka i gliniasta, a gdy rozmiękła, łapała za nogi, ssała stopy, zjadała buty i koła wozów. Ciągnęła się za człowiekiem jak nieszczęście, jak moja siostra za mną, jak ja za moją siostrą. Profesor wrócił z Warszawy i powiedział, że idzie kopać. Pytał we wsi, gdzie jest najlepszy ił do uszczelniania beczek z kapustą, a ludzie kazali mu iść do dolinki obok lasku Dąbrówka i tylko dobry Antek Kopytko łapał się za głowę.

– Profesorze, niech pan stąd ucieka. Tu ludzie są niewdzięczni, nie zrozumieją was, zmarnujecie się!

Ale Profesor śmiał się i klepał Kopytkę po plecach. Profesor był starym ludowcem, wiernym działaczem „Wici". Wierzył, że wieś można rozwinąć od środka, jej własnymi siłami, byle tylko ci, co z niej wyszli, zechcieli do niej wrócić. Ludzie złośliwi jak moja siostra mówili, że Profesor wrócił, bo się go pozbyto, bo nie chciał współpracować z takimi, którym współpracy się nie odmawiało, ale prawda była taka, że Profesor w Warszawie marzył o Łysej Górze. Wzywała go. Miał czterdzieści dwa lata, kiedy wrócił. We wsi dość sporo było takich jak on, jak wójt Kural, jak Kopytko, którzy rzucali kamienie w błoto, ciągnęli drogi, uczyli dzieci, kopali doły pod słupy elektryczne, założyli kółko rolnicze i spółdzielnię. Ale byli też tacy, którzy pytali Profesora, czy mo dupe za syroką, że musi poszerzać drogę kosztem ich pól, i obiecywali mu, że poniesie tę sprawę tam, na Boży sąd. Profesor przyjmował to z pogodą ducha i robił swoje. W 1946 roku w Łysej Górze rozbłysła pierwsza żarówka, a organista Gajda wyrzucił z domu lampę naftową i splunął za nią.

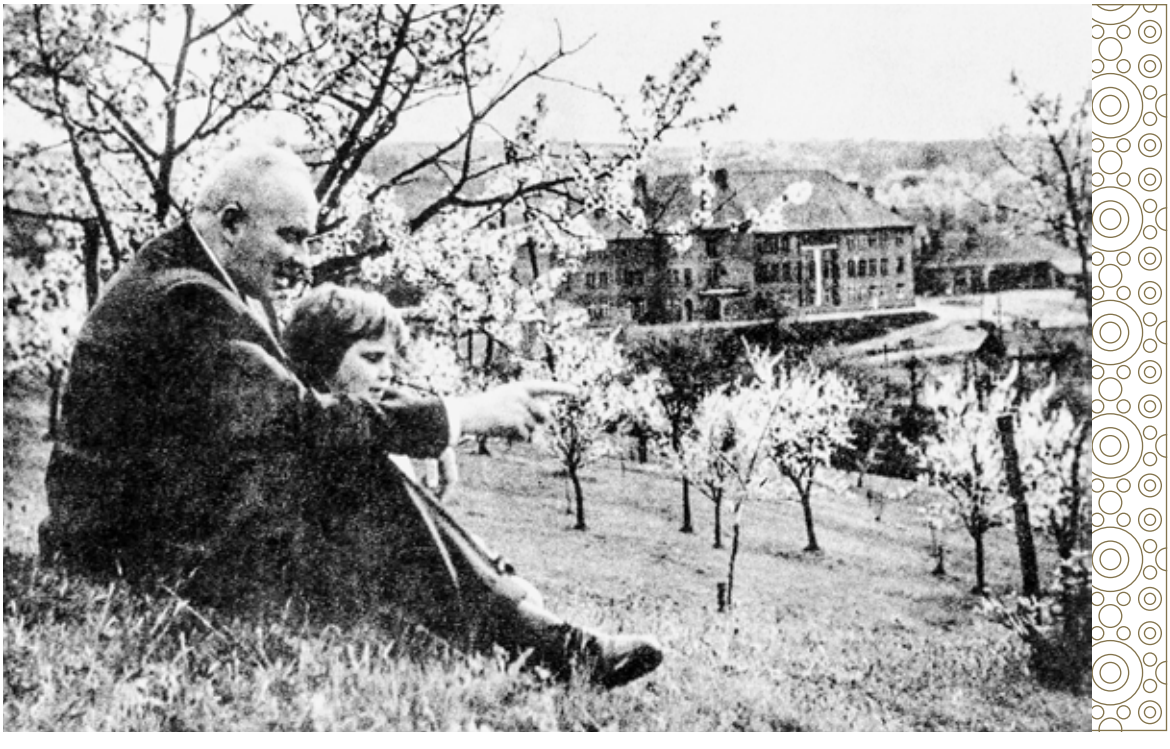
– Idź, świeć ciemnym ludziom, nie nam.

Profesor kopał w Dąbrówce trzy dni. Sam. Zanurzał łopatę w ciele ziemi i wyciągał na światło bryły iłu. Ił był czerwony, różowy i biały w błękitne prążki, coraz czystszy. Błyszczał na słońcu metalicznie, niczym skarb, tak jak teraz błyszczy w ciemności szkliwo na kafelkach, które muskają palce mojej siostry, a ona nie musi patrzeć, by wiedzieć, że to koguciki i kurki, wieńce i rozety, i meduzy.

Patrzy na mnie i mówi:
– Jak se robis, tak bedzies mioł.

*

Więc opowiadam: zimą ojciec Profesora uczył czytać i pisać. Dziewczynie, która mu się podobała, a która później miała zostać matką Profesora, kazał klęczeć na grochu, bo nie ufał słowom. Zamiast mówić, chciał do niej pisać. Ale odręczne pismo nie trzymało się dziewczyny. Musieli się spotykać po kryjomu, żeby nauczyciel mógł jej czytać swoją miłość. Pobrali się, mieli jedenastu synów i jedną córkę. Profesor był siódmym synem. Miał wtedy na imię Franuś. Wstawaj, Franuś, budziła go rano matka, ale cichutko i ostrożnie, żeby jeszcze troszkę pospał, zanim pójdzie



Franciszek Mleczko z córką Wiktorią, w tle budynek łysogórskiej szkoły

z gęsiami na pasionkę. Ojciec chciał, żeby Franuś Mleczko został kowalem. Franuś chciał zostać szewcem, ale został profesorem. Człowiek nie zawsze wybiera swój los, ja i moja siostra wiemy o tym dobrze. Chodzimy nocami po korytarzach, gładzimy opuszkami kafelki, czytamy z rys na szkliwie. Franuś Mleczko w domu uczył się słów: bezinteresowny – cwaniak, społeczny – aspołeczny. W gimnazjum w Brzesku tylko je powtarzał, jak łacinę, jak grekę. Sypiał na zimnej, zagrzybionej stancji, na łóżku tak zgniłym, że za uchem, które przykładał do poduszki, zrobiła mu się paskudna narośl. Ale zakochał się w pisaniu, w wypracowaniach, w zadaniach, w klasówkach. Wiedział, że ojciec musiał sprzedać pięć morgów pola, żeby Franka i jego brata posłać do nauki. Niejedno gospodarstwo upadło przez takie fanaberie i do wojny tylko piętnastu ludzi z Łysej Góry zdobyło wykształcenie. Pięciu nauczycieli, dwóch księży, adwokat, lekarz, księgowa, krawcowa i maturzysta, Profesor i dwóch jego braci. Ojciec Profesora brał świadectwa syna i powoli czytał każdą ocenę, po czym patrzył na niego z powagą i mówił:

– Jak se robis, tak bedzies mioł.



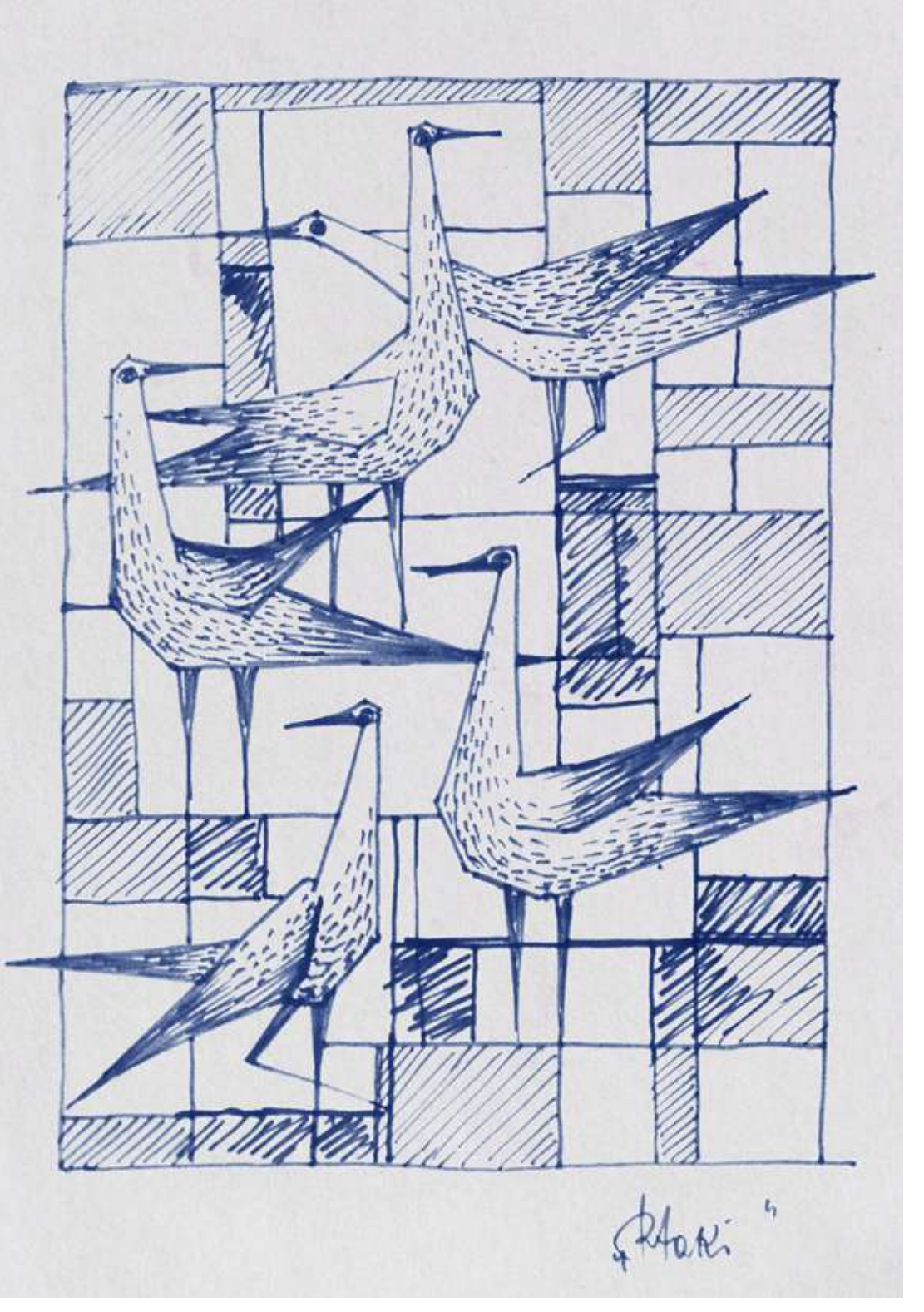
Kiedy Profesor kopał glinę w Dąbrówce, spółdzielnia działała w Łysej Górze już od czterdziestego siódmego. Miała sześć łopat, trzy pary taczek, drewnianą skrzynkę na ogłoszenia i szopę, a jej członkowie szyli, tkali, kuli i robili buty ze skóry, nawet narciarskie, i nawet dobre. Czterdziesty dziewiąty rok zamknęli zyskiem 50 groszy, więc Profesor szukał w ziemi lepszego skarbu. Znalazł glinę. Chciał z tej gliny robić doniczki i cegły, dzbanuszki i talerze, i kafle. Wymarzył sobie zakład ceramiki artystycznej, ludowej, a mało było takich rzeczy, które Profesor sobie wymarzył, i które się nie stały. Napisał do profesora Szafrana z Bolesławca, kupił maszyny na ziemiach odzyskanych. Z Dąbrówki i Bratulic ściągnął garncarzy z kołami garncarskimi. Ludzie schodzili się patrzeć, jak glina tańczyła oberka w rękach Marcina Srogi. Rozchylała się w kielich, strzelała słupkiem, posłusznie układała w kształt doniczki. Marcin i człowieka zrobiłby z gliny, gdyby mu pozwolono. Moja siostra prychała pod nosem, że nie wolno tak mówić, jęzor mam niewyparzony, za śmiało sobie poczynam.



↑ Jan Ochoński podczas wyrabiania gliny

↓ Jan Ochoński podczas formowania gliny





Projekt kompozycji z ptakami autorstwa Bolesława Książka, zrealizowany jako fryz na jednym z domów w Łysej Górze, lata 60. XX w.

A ja sunęłam palcami po szkolnych kafelkach, pod moimi palcami płynęły koniki i kogutki, rozety i wieńce, i konwalie. Spod cienkiej skórki obtłuczonej polewy gdzieniegdzie wystawały rany surowej gliny, takiej samej, jak ta, którą Marcin ujarzmiał na swoim kole. Ludzie z Łysej Góry przynosili mu czereśnie. Pluł pestkami w błoto i zapraszał do koła, a kto dał mu się namówić, kończył uwalany gliną i obśmiany przez resztę.

I było tak, że wszystkie doniczki, które Marcin wystawił na słońce, spękały.

– Panie, z ty wasy gliny nic nie będzie, nie da sie wysusyć – złościł się Sroga do Profesora, ale to nie była prawda. To była tylko kara za brak pokory, za niewyparzony język, za śmiałość.

– Cheba, zeby susyć w cieniu… – powiedział Marcin, bo głupio mu się zrobiło, że wcześniej nie wiedział: jak se robis, tak bedzies mioł.

✻

Czasem, kiedy nocami wymykałyśmy się z pokoju, moja siostra i ja, od razu wiedziałyśmy, gdzie chcemy pójść. Trzymałyśmy się za ręce i nie potrzebowałyśmy światła. Muskałyśmy palcami ściany korytarza – ja lewą, moja siostra prawą dłonią – i szłyśmy jak po sznurku, po konikach i kurkach, po rozetach i wieńcach, po królikach i jelonkach, i krówkach.

Bronisław Korcyl, na którego ziemi stanął pierwszy zakład Spółdzielni „Kamionka", mieszkał w chacie razem z krową, cielęciem, królikami i kogutami, i kurami, i wszystko robił na wspak. Uważał, że ludzie marnują czas nocny, śpiąc, więc krowę wypasał po zmroku, do księżyca orał, siał i kopał ziemniaki. Kartofli nie plewił, bo żal mu było chwastów, a zboża nie żął ani sierpem, ani kosą, bo nie chciał marnować słomy. Wyrywał żyto z korzeniami i trwało to tak długo, że ziarno wysypywało się z kłosów, a zboże gniło. We wsi mówiło się, że Korcyl łapie ptoska, a traci wołoska, ale on nic sobie z tego nie robił, bo uważał, że to inni się mylą, źle czynią i tylko ręką machał na ich uwagi. Miał dawniej żonę Rozalię, ale go odumarła. Dzieci nie mieli. – Warśtat był kiepski – tłumaczył, kiedy go o to pytano, bo dziecko było największym i nieutulonym pragnieniem Korcyla. Stary już był, siedemdziesiątka mu szła, ale wciąż miał

półtrzecia hektara ziemi i umyślił sobie ożenek. Znalazł dziewczynę czterdzieści dwa lata młodszą. Profesor próbował go przed tym ślubem powstrzymać, robił, co mógł, i nawet zawiózł Korcyla do szpitala, gdzie rozebrano go z łachmanów i umyto, i przebadano, ale nie znaleziono żadnej choroby, która wybroniłaby go od ołtarza.

– Świenty Józef tyz sie ozenił z młodą i wcale źle nie było – prychnął Korcyl i poszedł do kościoła.

Za jednomorgową działkę za rzeczką Kisieliną pod budowę zakładu ceramicznego wziął od spółdzielni 300 tysięcy w trzech ratach, a spółdzielnia miała opiekować się nim do śmierci, kupować mu ubrania i buty. Prefesór kupował mu jeszcze, już za swoje, tabakę i papierosy, i dlatego Korcyl zwierzył mu się po ślubie, że żonka wprawdzie chodzi z brzuchem, ale to, co w środku, nie jest jego. Profesor próbował namówić go, żeby zaparł się ojcostwa, ale Korcyl myślał o tym kilka dni i rzekł w końcu:

– Prefesórze, nie będę już zaprzycoł. Przecie jak sie krowe kupi na jarmarku, a ona sie ocieli, to nik z cielęciem nie wydziwio, ino je chowo. To i u mnie tak się stało: kupiłem krówkę z cielątkiem.

Moja siostra, która była złośliwa i zła, zawsze najbardziej lubiła ten kafelek z krówką i nigdy nie pozwalała się z niego śmiać.

✻

Moja siostra ciągnęła mnie w dół, w dół, ku ziemi, gładziła szkliwo prawą ręką i zawsze wiedziała, które koguciki i kurki, rozety i wieńce, i ryby namalował Książek. Przynajmniej tak mówiła. Moja siostra czasem kłamała, nie powinniście jej ufać. Schodziłyśmy w ciemności, a ona wskazywała mi rozety i ptaszki, i mówiła: ten, ten, ten nie, a ja wierzyłam lub udawałam, że wierzę.

Nie wiem, jak Książek poznał się z Profesorem. Profesor przywiózł go któregoś dnia i Bolesław Książek postanowił tu zostać, bo odkąd pamiętał tęsknił za pięknem. Znał też biedę, bo przepracował wiele lat w hutach szkła, a najdłużej w tej krakowskiej, przy Lipowej na Zabłociu, gdzie robiło się butelki. Handlował też malowanymi skrzynkami na żydowskiej tandecie, a nawet jeździł jako motorniczy w tramwaju. W czasie wojny skończył Kunstgewerbeschule, Państwową Szkołę Rzemiosła Artystycznego,

a po niej został kierownikiem Pracowni Ceramicznej Spółdzielni Artystów Plastyków. Profesor chciał, żeby projektował ceramikę Kamionki.

Mogłabym wam powiedzieć, że byli ulepieni z jednej gliny – Profesor i Książek – ale nawet taka sama glina może dać w piecu zupełnie inne rezultaty. Wkładasz, a nie wiesz, co wyjmiesz. Palacz za długo zatrzyma wyrób w piecu i spali go, węgiel, co go zaopatrzeniowcy zakupią, będzie mniej kaloryczny i trzeba będzie biegać po wsi, kraść wiklinowe kołki z płotów sąsiadów, żeby dopalić wyroby. Różnie może być,



Od lewej Alfred Ludyna, Jan Mleczko i Bolesław Książek na tle kompozycji Książka, lata 60. XX w.

różnie bywa. Trudno się z ogniem dogadać. Mało kto to potrafi. W Łysej Górze może jeden Piotr Topolski, stary strycharz i palacz cegły, kłusownik wolnostrzelec, umiał z ogniem rozmawiać. Profesor zaklinał się, że istotnie, Piotr rozmawiał z ogniem. Chodził wokół komór pieca, kiedy cały blok cegły stawał się jednym graniastosłupem żaru, i cały czas mamrotał coś pod nosem.

– Palić można wszystkim, gazem, węglem, nawet łajnem suchym – mawiał. – Byleś paniedziejku umiał z ogniem gadać!

Topolski miał najlepsze wyniki w wypalaniu cegły.

Z tej cegły powstał na działce Korcyla pierwszy budynek spółdzielni Kamionka, w którym zamieszkał Książek.

Książek w Kamionce zaraz zaczął stawiać swój piec – nieduży, muflowy. 1 września 1951 roku sprowadził się na stałe do Łysej Góry i koledzy z Krakowa trochę śmiali się z niego, że się zakopał w błocie. Nic sobie z tego nie robił. Już 4 października zarządził pierwszy wypał ceramiki. Wyszły te pierwsze próby nienadzwyczajnie, bo surowy piec zlizał trochę szkliwa, ale kiedy Profesor zobaczył wazoniki, miski i dzbanki z imieninowymi życzeniami – bo tego dnia wypadało Franciszka – nawet nie słuchał, jak mu śpiewają sto lat, jak Książek gra na trąbce, tylko złapał kilka jeszcze ciepłych ceramik i poleciał szczęśliwy przez wieś.

Niedługo potem pojechali obaj do Warszawy, do zarządu Cepelii. Wzięli z sobą dziesięć dużych wazonów, prosto z czerwonego od żaru pieca, jeszcze gorących. Nie zdążyli przelać ich mlekiem, więc przeciekały, ale i tak bardzo się spodobały. Była wiosna 1952 roku. Zaraz potem Kamionka dostała zlecenie na kafelki z kogucikami i kurkami, wieńcami i rozetami, królikami i krowami, i rybami, kafelki, z których moja siostra umiała czytać przeszłość i przyszłość.

*

Pierwszą partię kafelków Profesor zawiózł do stolicy sam. Do barów Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej miało pojechać 10 tysięcy sztuk i Książek nie chodził spać do domu, chociaż mieszkał w budynku zakładu. Wolał sypiać kątem na betonie w pracowni. Zresztą wszyscy pracowali wtedy dzień i noc, i noc i dzień.

Książek wymyślał wzory, brał rożek i pokazywał Wisi, Jance i Stasi, jak na mokrym kaflu czterema pociągnięciami rożka zabarwioną angobą malować koguciki i kurki, meduzy i ryby, króliki i jelonki, i wieńce. Powtarzały po nim coraz szybciej, coraz ładniej, nie do odróżnienia. Książek szalał, a Profesor odchodził od zmysłów. Czuł się „jedyną nieproduktywną siłą Spółdzielni", wziął więc wóz, zapakował na niego czternaście skrzyń kafli i pojechał do Biadolin, na pociąg. W Warszawie inżynierowie z MDM-u nie mogli się już doczekać. Zaraz odbili wieka skrzyń, cieszyli się jak dzieci. Jelonek! Kogucik! Meduza! Profesor przyglądał się im i ocierał lewe oko. Może było to wzruszenie, może zapalenie, które wdało się pod powiekę i które przypłacił później zrostami w źrenicy.

– To dar Łysej Góry dla Warszawy – wydusił wzruszony, a któryś pragmatyczny inżynier, który miał do wykonania plan i zobowiązanie lipcowe, zapytał trzeźwo:

– Ile pan tego ma? Kiedy będzie więcej?

Profesor jeździł potem do stolicy z kolejnymi partiami, a co pojechał, kazali mu dorobić jeszcze tysiąc. Łysa Góra nie spała, wypalała, malowała. Niektóre kafelki nie podobały się, albo nie przeszły kontroli technicznej, i wracały do wsi. Profesor dał je Zasadniczej Szkole Rzemiosł Artystycznych, która później została Technikum Ceramicznym, a jeszcze później tym, czym jest teraz, kiedy nocami chodzimy po jej korytarzach i schodach, gładząc śliską skórę kafli z kogutkiem i kurką, i rybą.



Szkoła, której korytarze przemierzałyśmy nocami, czytając z kafelków, wyrosła na polu starej Kapuściny. Stara Kapuścina miała przepowiedziane, że tak się stanie, więc nie dziwiła się temu, tylko czekała. Kiedy była ośmioletnią Genią, przyszedł do ich domu wędrowiec. Zjadł, popił, przespał się przy piecu i wychodząc przed dom, powiedział:

– Tu kiedyś stanie wielki gmach. Szkoła albo klasztor.

Genia to sobie zapamiętała, bo ludzie pamiętają dużo rzeczy, także takich, które się nie wydarzyły, i kiedy była już starą Kapuściną, od razu zgodziła się dać ziemię pod szkołę. Profesor wymyślił, że szkoła będzie zawodowa i artystyczna, i taka była,

i Antonina Wilczek uczyła tkactwa, Józef Sacha ślusarstwa, Franciszek Mytnik kowalstwa, Jan Ochoński modelarstwa, Stefan Jakubowski i Bolesław Książek ceramiki. Ci, którzy kończyli szkołę, często szli potem pracować do Kamionki.

Kamionka przestała już robić buty i skupiła się na ceramice. Hania Ogar ładowała furmankę tym, co wyszło z pieców, i jeździła na jarmarki. Sprzedaż szła jej różnie, bo ludzie nie byli przyzwyczajeni do talerzy i mis, i wazonów, ale Książek powtarzał, że „ceramikę muszą poznać i musi jej być wszędzie dużo. Jak będzie w każdym sklepie, to pójdzie jak woda". Pracował po szesnaście–osiemnaście godzin dziennie, nie święcił niedziel, nie korzystał z urlopów. Nie dojadał. Oddał się Kamionce cały. Zaprojektował dla spółdzielni od 1600 do 1800 nowych wzorów i grał na trąbce w zespole ludowym. Kiedy Książek kupił 13 arów i na wzgórzu zwanym Krakowem zaczął stawiać sobie dom, ludzie dziwili się po co, skoro i tak siedzi w warsztacie. Ale i tak przyszli pomóc kopać fundamenty. Książek chadzał za to na zebrania spółdzielni, chociaż nudziły go



Kobieta zdobiąca ceramikę w Łysej Górze, 1968

i irytowały, bo sprawy rolnicze z bobikiem, końskim zębem czy inkarnatką były dla niego taką samą abstrakcją, jak dla wsi malarstwo niefiguratywne.

Pod koniec lat pięćdziesiątych powstał nowy kompleks Kamionki. Moloch. Fabryka. A ponieważ w tym czasie do Łysej Góry dociągnięto gaz, palono tam już gazem. W długim jednokondygnacyjnym budynku stojącym wzdłuż drogi znalazła się piecownia z nowym piecem tunelowym. Ciągle były z nim problemy: a to urwało mu się dno, a to sufit zawalił. Ludzie, którzy szli rano do pracy, już z daleka nasłuchiwali, czy to szumi Kisielina czy wentylatory na hali. Jak szumiała tylko rzeczka, wiedzieli, cholera jasna, że piec stanął i znowu trzeba będzie do niego włazić. Stawiali ten piec robotnicy z Mostostalu, ale jeszcze dobrze nie odjechali, a już była awaria. Przyjechała ekipa z Nowej Huty, z kombinatu, pracowali sześć godzin, wzięli po osiem stówek, piorunem zrobili. Nie minęły dwa dni, gruchnęło całe sklepienie. Wtedy już ludzie z Łysej Góry po nikogo nie dzwonili. Zrobili sami. Nikt grosza nie wziął, Książek przespał się na stole w laboratorium, nawet do domu nie poszedł. Naprawili i piec palił latami. Drugi zbudowali sobie już sami, a moja siostra ciągnęła mnie za rękę i mówiła:

– Jak se robis, tak bedzies mioł.

✻

Tam nie chodziłyśmy, nie wychodziłyśmy przecież ze szkoły. Tam trawa rosła po kolana, i łopian, i pokrzywy, nie chciałyśmy w nie iść. Wolałyśmy dotykać kafelków. Wieńców i rozet. Nie byłyśmy gotowe na kosmos.

Kiedy kafelki i wazony, talerze i flakoniki, i misy to było już dla Książka za mało, zaczął myśleć o czymś więcej. Miał już wtedy w Łysej Górze dom na wzgórzu Kraków, dom wyłożony ceramiką, pachnący ciastem drożdżowym i szamotem, dom, w którym bywał rzadko, przegryzał herbatę landrynkami i czytał kryminały.

Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych Książek zmieszał glinę czerwoną i szamot, zaczął z nich wypalać płyty ceramiczne. Wpadł na ten pomysł chyba w Chinach, podczas wizyty studyjnej. Płyty wyglądały jak abstrakcyjne obrazy pełne dziwnych, niezwykłych faktur. Podobne rzeczy, ale w tradycyjnej technice,

robił w tym samym czasie Krzysztof Henisz. Antoni Kamiński, dyrektor Cepelii, kazał mu pojechać do Łysej Góry, porozmawiać o utrwaleniu ich w ceramice. Książek był nastawiony entuzjastycznie. Dołączył do nich jeszcze Zygmunt Madejski i w 1959 roku rozpoczęli coś, co nazywano eksperymentem łysogórskim, czyli próbę wprzęgnięcia ceramiki w służbę architekturze.

6 maja 1960 roku w pałacu Pod Blachą w Warszawie odbyła się pierwsza wystawa ceramiki eksperymentalnej. Sukces był niewyobrażalny. Wszyscy zachwyceni. „Nowe tworzywo dystansuje wszystkie stosowane dotychczas materiały budowlane. Jest jak granit, ale daje do dyspozycji przepiękną paletę barw i jest prawie wieczny" – ekscytowali się eksperci. Do Kamionki zaczęły spływać zamówienia. Krakowskie kino Kijów, Teatr Rozmaitości, Filharmonia Warszawska, domy wczasowe od Muszyny po Zakopane, kawiarnie i restauracje, i szpitale. Nagle wszyscy chcieli kolorowych, szkliwionych płyt. Do wsi zjechali artyści, każdy chciał zaprojektować, spróbować, zobaczyć, co wyjdzie z pieca: Antoni Hajdecki, Antoni Haska, Zygmunt Lis, Wojciech Sadley, Witold Skulicz, Witold Urbanowicz, Krystyna Zgud-Strachocka. Na bok poszły doniczki i wazony, flakony i talerze, i miski. Na ścianie piecowni też wyrosła wielka kompozycja. Z drogi mogło się wydawać, że to okno na kosmos, po którym w obłokach pyłu dryfują talerze, ale my tam nie chodziłyśmy, moja siostra i ja.

✻

Moja siostra ciągnie mnie za rękę, chce, żebyśmy poszły w górę, schodami do nieba, na piętro. Lewą dłonią sięga kafelków, sprawdza znaki, z pęknięć szkliwa odczytuje naszą drogę. Kogucik, rozeta, rozeta, rozeta, słońce. Już wiem, dokąd idziemy, wiem, że moja siostra szuka psa.

Profesor widział, jak pies Machetów zerwał się z łańcucha przy chlewie. Ujadał jak opętany, szczerzył zęby i warczał, i biegał po takim samym okręgu, na jaki wcześniej pozwalał mu łańcuch. Profesor patrzył jak urzeczony. Przestał się nawet bać, że pies go ugryzie. Był wstrząśnięty.

„Przyzwyczajenie jest potworną siłą" – zapisał, ale na głos powiedział:

– Jak se robis, tak bedzies mioł.



↑ Fragment kompozycji z 1962 r. na ścianie budynku socjalno-administracyjnego Spółdzielni „Kamionka” w Łysej Górze

↓ Fragment kompozycji architektonicznej z 1968 r. na ścianie piecowni w Łysej Górze





↑ Fragment mozaiki wkomponowanej w szkolny wieszak, dziś stanowi część ekspozycji „Skarby Łysej Góry” w Łysej Górze

↓ Ekspozycja „Skarby Łysej Góry” w Łysej Górze, kuratorka Natalia Kopytko





Kafel, poczta w Łysej Górze, ok. 1962

*

Słyszałyśmy, moja siostra i ja, co w telewizji mówili członkowie spółdzielni. Podsłuchiwałyśmy pod drzwiami, a nasze palce przebiegały po szkliwie kafelków. Rozet. Wieńców. Kogutków i kur, i konwalii.

Członek spółdzielni, mówili w telewizji, nie jest zainteresowany produkcją płyt ceramicznych. Jest zainteresowany flakonikiem. Flakonik, mówili, idzie na eksport. Płyta odbiera pracownikowi chleb. Płyta dezorganizuje produkcję flakoników. Odsuwa je na bok, udaje, że jest ważniejsza. Ale kto korzysta na płycie? Czy nie artysta plastyk z Warszawy, który przyjeżdża poszerzoną kosztem naszych pól drogą? Który je kiełbasę i szarogęsi się na piecach, które własnymi rękami zbudowaliśmy? Który traktuje pracowników spółdzielni jak personel, przychodzi na gotowe, kupuje płytę za 250 złotych i sprzedaje ją za 1500? Moglibyśmy obejść się bez plastyków, sami robić i sprzedawać płyty. Albo lepiej – robić flakonik, mówili.

A w pachnącym drożdżami i szamotem domu na Krakowie Bolesław Książek chodził jak błędny. Pisał: „Jak łatwo zniszczyć i to bez zastanowienia, i to w imię dobra Kamionki. Jeżeli to jest dobro, to nie wiem, jak może zło wyglądać. (…) Uważam te sprawy za największą krzywdę, jaka mnie kiedykolwiek spotkała. Przecież tyle tu miałem szczęśliwych dni, tyle radości. Nic już z tego dziś nie zostało prócz żalu i bólu. Ach, jak wszystko boli. A tu ciągle milczenie zamiast rozpaczy, nawet krzyczeć nie mogę”.

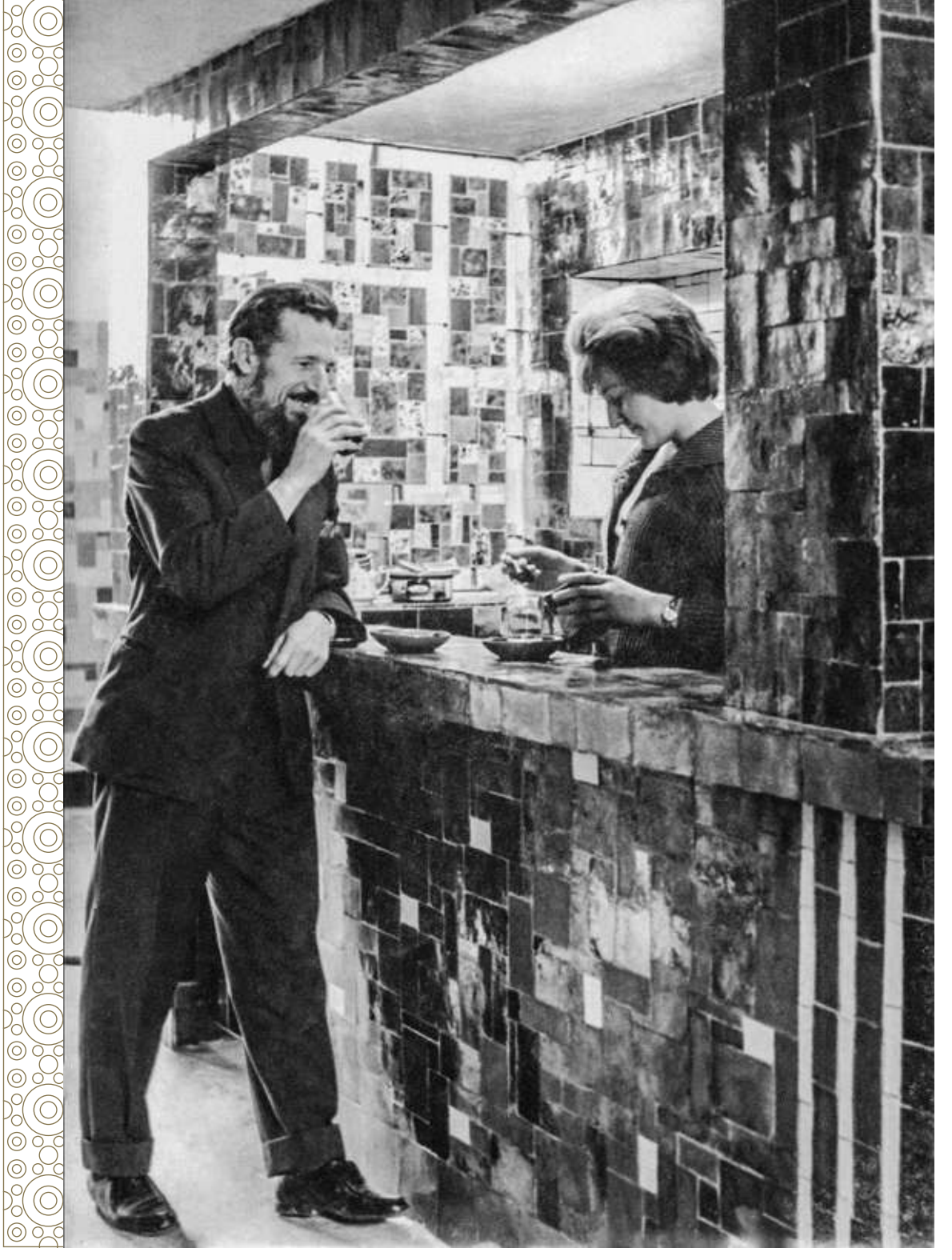
Nie chciał już robić flakoników. Chciał tworzyć, nie jako rzemieślnik, ale jako artysta. Rozstał się ze spółdzielnią Kamionka po 1970 roku.

*

Nocami wymykałyśmy się z pokoju cicho, tak żeby nikt nie wiedział, i sunęłyśmy korytarzami. Nie potrzebowałyśmy światła. Dotykałyśmy ścian i prowadziły nas koguciki i kurki, wieńce i rozety, niezapominajki i koniki, i ryby. Odrzuty. Odpady. Niechciane. My często też czułyśmy się niechciane, więc ufałyśmy sobie nawzajem.



Bolesław Książek demonstruje swoją pracę w postaci płyty architektonicznej, 1968



Bolesław Książek przy barze w sali widowiskowej, lata 60. XX w.

Tak było lepiej. Na zewnątrz świat szalał i obalał stare porządki. Tłuczono flakoniki i wazony, i miski. Skuwano ze ścian wielkie ceramiczne kosmosy. Pod plastikowymi panelami chowano kafelki. To wszystko było już brzydkie i należało się tego pozbyć. My też byłyśmy brzydkie, ja i moja siostra. Wygaszono piece. Rozwiązano spółdzielnię. Urosły pokrzywy i łopiany. Zamknięto szkołę. Pozamiatano skorupy i kurz, i – co było najgorsze – o wszystkim zapomniano. Przypomniano sobie dopiero całkiem niedawno.

I ja już też o niczym nie pamiętam. Wszystko zapomniałam i tylko chodziłam nocami po korytarzach, gładząc śliskie szkliwo, a moja siostra zawsze prowadziła mnie w dół, w dół po schodach, moja siostra stąpała twardo po ziemi, mocno trzymała się poręczy i mówiła: chodźmy spać, proszę pani, chodźmy już spać.

Odpowiadałam jej:

– Jak se robis, tak bedzies mioł.



KOŚCIÓŁ PW. ŚW. WOJCIECHA
I MATKI BOŻEJ BOLESNEJ
ORAZ DWÓR W MODLNICY

Z misją etnograficzną (lipiec 1884)

Sabina Jakubowska

Ozdabianie to po prostu twórcza potrzeba, żeby dłużej pobyć z dziełem, myślała Antonina Konopczanka, przebywając w kościele w Modlnicy. Można się rozgościć w chwili, w miejscu, w tworzeniu. Wiedziała, co mówi. Sama często malowała, rysowała, wykonywała drzeworyty, a to była zaledwie część jej talentów. Czym byłoby życie, gdyby człowiek miał się poświęcać tylko kwestiom praktycznym?

A jednak to im oddawała większość swego czasu, wespół z bratem prowadząc rodzinny dwór w podkrakowskiej Modlnicy. Wespół brzmi dobrze, ale tak naprawdę to na jej głowie była większość spraw dotyczących codzienności kilkudziesięciu osób. Dlatego lubiła czasami wyjść do kościoła. Już sama droga była przyjemnością. Dwór z lamusem i zabudowaniami gospodarczymi, stawami i parkiem oraz kościół z plebanią i cmentarzem zbudowano naprzeciw siebie, stale czuwające jedne nad drugimi. Wokół tego podwójnego centrum powstała wieś Modlnica, dawno temu zwana Zagórzem. Tu w X wieku odprawiał modły św. Wojciech, gdy na zaproszenie Bolesława Chrobrego wyruszył z misją do pogańskich Prusów. Odprowadzany przez lud z Krakowa, tu błogosławił modlących się, pozostawiając im swoje ostatnie dary: źródło, które wytrysnęło pośrodku wsi, i lipę wyrosłą z jego kostura. Według dawnych podań w miejscu tym postawiono kapliczkę.

Antonina lubiła te legendy, a jeszcze bardziej fakty: po raz pierwszy nazwa Modlnica wystąpiła w źródłach historycznych w roku 1254 jako wieś należąca do klasztoru krakowskich norbertanek. Ceniła Panny Zwierzynieckie za to, że wybrały życie niezależne od świata, którym rządzili mężczyźni, i świetnie radziły sobie z zarządzaniem podległymi im dobrami, dbaniem o pierwszy modlnicki kościół. Ten obecny, drewniany, kryty gontem powstał wiele lat później. Wzniósł go w 1553 roku proboszcz Jan Pontificjusz, i to własnym sumptem! Antonina myślała o nim z sympatią i wdzięcznością, podobnie jak o Mikołaju Salomonie herbu Łabędź, krakowskim radcy, który powołał tego włościańskiego syna na probostwo w Modlnicy zaraz po tym, jak odkupił i połączył rozdrobnione części miejscowości. Według podań to właśnie rodzina Salomonów pierwsza zagospodarowała obecne dworskie wzgórze.

Lipy modlnickie dawały cudowny cień, jednak czarna suknia, w jakiej Antonina chodziła na co dzień, to nie był ubiór wygodny latem, nawet jeśli zwykła go nosić



Akwarela Antoniny Konopczanki przedstawiająca *Lud krakowski słuchający kazania św. Wojciecha*

z przyczyn patriotycznych. Za to w kościele było chłodno nawet w środku lipca. Lubiła tu usiąść, odpocząć, pozwolić myślom odpłynąć, pobłądzić, podróżować po znanych od lat ornamentach sklepień, naw, ołtarzy. Czuć zapach drewna, zapach czasu. I słuchać muzyki. Dziś przyszła specjalnie dla muzyki. Ale na razie jeszcze czekała w ciszy. Ta cisza ogarniała ją i koiła.

Grunt pod stopami dawał jej poczucie siły i przynależności do tej ziemi. Ławka kolatorska, gdzie zwykła siadać, wskazywała jej miejsce w świecie: w starym szlacheckim rodzie Konopków herbu Nowina. Dziadek Antoniny, Józef Konopka I, po latach służby u książąt Czartoryskich wybrał Modlnicę na swą siedzibę, wprowadzając się do wsi wraz z młodą małżonką Teresą ze Skotnickich. Ich trzej synowie – patrioci, biorący udział w walkach o niepodległość – podzielili między siebie rodzinny majątek. Najstarszy Michał dostał po ojcu Zaleszany, średni Stanisław – Mogilany, a najmłodszy Tadeusz – właśnie Modlnicę, nad którą czuwał przez całe życie. Na zakończenie zgodnego podziału bracia ufundowali rodzicom w kościele pomnik. Postument z czarnego marmuru zwieńczała postać płaczki wspartej o urnę. Ta pełna wdzięku istota była dla Antoniny symbolem jej własnej duszy, przywiązanej do miejsca, opłakującej przodków, zastygłej w melancholii, podczas gdy krzepkie ciało i bystry umysł z dyscypliną podejmowały codzienny trud.

Tadeusz, ojciec Antoniny, z wykształcenia prawnik, z zamiłowania historyk, a z powołania prawdziwy gospodarz tej ziemi, pierworodnemu, Romanowi, ofiarował wieś Tomaszowice, Modlnicę zaś pozostawił drugiemu synowi, Julianowi, oraz córce, noszącej imię po matce pochodzącej z Modlniczki Antoninie Podlewskiej herbu Poraj. Gdy córka myślała o małżeństwie rodziców, przychodziło jej do głowy zdanie, które matka często powtarzała: po co szukać daleko, gdy bliskie jest dobre. To przekonanie zaszczepiła także najmłodszemu potomkowi, Józefowi (imiennikowi dziadka – protoplasty modlnickiego rodu), który miłością obdarzył swą kuzynkę Stefanię Konopczankę, dziedziczkę Mogilan, a tym samym spełnił życzenie rodziny, by dwa rody ponownie się połączyły. Wymagało to dyspensy papieża Grzegorza XVI, ale za to zaowocowało obfitym kwieciem na drzewie genealogicznym. Stefania, nieustająco zajęta macierzyństwem, mogła liczyć na wsparcie i pomoc Antoniny, która gościła u siebie bratanice Justynę, Michalinę i Sewerynę, wychowując od maleńkości dorastające już panny i zapewniając im edukację muzyczną, językową i wszelaką.



↑ Boże Ciało w Modlnicy, 1932

↓ Dwór Konopków w Modlnicy, na schodach od lewej: Roman, Antonina, Julian i Tadeusz Konopkowie, lata 90. XIX w.



Kobieta nadal była sama w kościele. Tę chwilę miała dla siebie. Tylko ona – i Matka Boska Modlnicka patrząca jej w oczy ze spokojnym zrozumieniem, lśniąca srebrną sukienką pochodzącą z wdzięczności wiernych, lecz przecież tak naprawdę tam pod spodem, pod tym kruszcem, była ciemna surowa szata smutnej Matki, która przeczuwała boleść swego Syna.

Renesansowy strop świątyni inspirowany był wawelskimi kasetonami. Lubiła renesans. Dawał oczom więcej oddechu niż drapieżny barok. Renesansowe były też polichromie nawy, swoista Biblia pauperum. W prezbiterium genealogia Mesjasza, na ścianach sceny z życia Jezusa, Matki Boskiej, apostołów i świętych, i przejmująca scena Sądu Ostatecznego. A na balustradzie chóru wspaniała ilustracja przypowieści o Bogaczu i Łazarzu.

Renesans, myślała Antonina, pisarka, twórczyni wierszy, dramatów, tłumaczka Psalmów Dawida, autorka wspomnień i pamiętnika. Renesans jest ważny. Ta epoka jak żadna inna daje człowiekowi nadzieję, że jest nie tylko mgnieniem i marnością, lecz stworzony został ręką Przedwiecznego Artysty, przeto ma dążyć do Piękna, do najdoskonalszej wersji siebie. Renesansem inspirowana była też kaplica świętej Anny dobudowana w 1622 roku przez Katarzynę Kucharską jako miejsce spoczynku rodu Kucharskich. Jasna i subtelna, o stropie zwieńczonym freskami i ornamentem roślinnym. Jej wyposażenie przybliżało się już do baroku, szczególnie tablica z łacińskim napisem ufundowana przez nieutuloną w żalu wdowę: „O, śmierci okrutna (…) cóżeś uzyskała, żeś zabrała Kucharskiego spośród żyjących? Chrystusowi ufał, więc żyje. Z chwałą godną męża i starożytnego rodu wypełniał cnoty. Religię miłował. Zakończył troski a weseli się w przybytkach niebiańskich. Za nędzną ziemię pozyskał wieczną szczęśliwość. Jakiś dla ciebie śmierci pożytek, gdy dusza w niebie, ziemia bierze ciało, więc ty nie bierzesz nic”. Ten ton, ta barokowa nuta nieustającego dialogu życia ze śmiercią pojawiała się w modlnickim kościele na wiele sposobów, szczególnie w czarno-złotych barwach hebanowego tabernakulum ołtarza głównego czy marmurowej chrzcielnicy.

Ciche nabożeństwo zaczęło się, minęło nie wiedzieć kiedy i dobiegało już końca. Zabrzmiały organy, oznajmiając wiernym wieczorną ceremonię zasłonięcia obrazu Matki Boskiej Modlnickiej przy dźwiękach hymnu skomponowanego przez Tadeusza Konopkę. Po nich nastąpił koncert. Ten, kto gościnnie dziś grał, bliski był sercu Antoniny.

Dobry człowiek, nieprzeciętny umysł i wiele talentów splecionych w jednej skromnej osobie. Oskar Kolberg, przyjaciel rodzeństwa Konopków, goszczący w modlnickim dworze już od trzynastu lat. Potomek Francuzki i Niemca zakochanych w polskiej kulturze. Dawniej sąsiad rodziny Chopinów, młodszy kolega Fryderyka. Przybył tu z Warszawy z misją etnograficzną i realizował ją z dyscypliną i zapałem. Wszechstronnie wykształcony, światły człowiek z zasadami, i zawsze taki skromny. Ewangelik, który na kościelnych organach grał z równą przyjemnością jak na dworskim fortepianie, bo był też muzykiem, a oprócz tego księgowym i naukowcem. A jak pięknie on grał.

Tak bardzo lubiła to jego szczere spojrzenie, mądre czoło, rozważne słowa, ujmujące poczucie humoru, powściągliwość, wrażliwość i oddanie pracy, którą sobie wyznaczył. Lubiła jego słabostki i dzielenie z nim samotności. Znała go od lat. Kiedy brat Józef, szalenie rozmiłowany w etnografii, przywiózł warszawskiego przyjaciela pierwszy raz do Mogilan i Modlnicy w 1841 roku, Antonina była ledwie czternastolatką i uczony gość wcale na nią nie zwrócił uwagi, a jednak sam zapadł jej dobrze w pamięć. I w serce.

Powrócił dopiero w 1857, mając czterdzieści trzy lata i wiele osiągnięć: świeżo wydane *Pieśni ludu polskiego* oraz muzyczne kompozycje. Ona skończyła trzydzieści, a i tak czuła się już tym, czym była, starą panną.

Wykształcenie ani życie we dworze stale pełnym gości nie przynosiły satysfakcji. Ten nowy sens dała jej dopiero przyjaźń z panem Kolbergiem i powierzone przez niego zadanie. Początkowo nieśmiało, a potem już regularnie Antonina przestawała z ludem i według instrukcji etnografa zapisywała dokładnie swoje pytania i odpowiedzi wiejskich dziewczyn i kobiet, bo to z nimi najczęściej rozmawiała. A potem, kiedy Kolberg został już stałym rezydentem we dworze, przez wiele lat mogła z nim konsultować i omawiać wszystkie bieżące odkrycia, wzruszenia, osobliwości. Szkicowała dla niego roślinne wzory na gorsetach dziewcząt, na chustach, spódnicach i zapaskach kobiet. On zaś papier pokrywał ornamentem nut. Wystarczyło mu dwa razy usłyszeć ludową melodię, by zapisać ją z pamięci w notatniku, potem zaś zredagować w kolejne tomy monografii regionalnej wydawanej pod tytułem *Lud*. A cóż na to sam lud? Najpierw włościanie się wielce dziwili, a potem to już go przyjęli i powierzali swoje wiejskie tajemnice. Nawet piosenka powstała w Modlnicy właśnie o nim: „Ciesy się pan Kolber, ze idziemy z pola,/ ciesy się i Gacka, Maryna, Antola”.



↑ Gorset kobiecy z czarnego aksamitu zdobiony haftem, pasmanterią, guzikami i cekinami, Modlnica, ok. 1924

↓ Kaftanik kobiecy z niebieskiego sukna zdobiony aplikacjami z czarnego aksamitu haftowanego w kwiaty, prawdopodobnie z okolic Modlnicy, lata 20.–30. XX w.





Rodzina Konopków przed dworem w Modlnicy (?), na fotelu Antonina Konopczanka, XIX/XX w.



Ksiądz Florian Junga, proboszcz Modlnicy, rysunek wykonany przez jednego z Konopków

Czasami podejrzewała, że ta „Antola" – to o niej, już od tylu lat uparcie „cieszącej się" rozmową z ludem. Mówiliby między sobą o niej tak familiarnie? Z tym pytaniem wyszła z kościoła prosto na rozświetlony świat, bo uświadomiła sobie wreszcie, że w świątyni znów zapadła cisza.

– Wielmożna Pani! – dygnęło jakieś dziewczę. – Wielmożna Pani! – powtarzali ludzie, rozstępując się. Mężczyźni, którzy zdążyli już po wyjściu z kościoła nałożyć na głowę czapkę, teraz pospiesznie ją zdejmowali na jej widok. Zamężne starsze kobiety w narzuconych na plecy kraciastych pledach, one także schylały przed nią głowy. Może dla samej siebie była nadal panną Antoniną, ale dla nich – Wielmożną Panią. Taką, która wiele może.

Kolberga nigdzie nie było widać, pewnie jak zwykle ruszył do pracy, a tłum włościan poniósł go na poszukiwanie nowych inspiracji. Antonina wracała aleją prowadzącą przez park i już widziała dwór, jasny, o pięknych proporcjach. Dach pokryty gontem, szlachecki ganek wsparty na kolumnach. Zbudowany dla jej dziadka Józefa, od jego czasów ubrał się w klasycystyczne szaty, nabrał stylu prawdziwego pałacu. Najbardziej lubiła w nim przeszklony świetlik nad portykiem wejściowym. Półkoliste okno podzielone było na kwaterki za pomocą promieni rozchodzących się na zewnątrz od niewidocznego centrum okręgu.

We wcześniejszych latach, gdy tak wyraźnie czuła, że wiosna jej życia już przemija, wzór ten wzbudzał u niej dreszcze, kojarzył się z pajęczyną, która pochwyciła ją, biedną muchę, i już nie wypuści. Teraz jednak świetlik symbolizował dla niej wachlarz możliwości, jakie życie niosło każdego dnia. Tu był jej dom o wielu przepięknych pokojach, ozdobionych dawnymi meblami, obrazami, trofeami myśliwskimi. Tu była Wielmożną Panią! – która teraz weszła do kuchni wydać dyspozycje co do kolacji. W lecie jadano późno, dopiero gdy od swoich zajęć oderwali się wszyscy rezydenci i goście, a było ich niemało, czy to razem, czy z osobna, ale gość w dom, to Bóg w dom. Dla wszystkich starczy chleba. Ten modlnicki chleb i wino ze starych dworskich piwniczek spożywali więc malarze Artur Grottger, Włodzimierz Tetmajer, Walery Eliasz Radzikowski, Antoni Kozakiewicz, Tadeusz Rybkowski, Stanisław Kamocki, Stanisław Czajkowski, Stanisław Paciorek, Antoni Zamoyski, ale i historycy, etnografowie, poeci, pisarze, choćby Zygmunt Gloger czy Kazimierz Chłędowski. Często zaglądali bracia Konopkowie – Roman oraz Józef, kiedy jeszcze żył.

„A dejże mi Boże, w tem szczęśliwym roczku, O coć ja cię proszę od rana do zmroczku, / Abym tego męża miała, któregom se spodobała, Tego życzę sobie, Boże chwała Tobie" – śpiewała cichutko a dźwięcznie dziewczyna kuchenna Helena Gilówna. Antonina uśmiechnęła się pod nosem nad marzeniami nastolatki. Już tam pewnie „pan Kolberg" dawno zapisał i tę piosenkę. Gdyby mógł, przewędrowałby cały kraj, opisał każdą chałupę, zanotował każdą melodię. I zbliżał się do tego celu z każdą podróżą, z każdym wydanym tomem. Nie znała pracowitszego człowieka, choć sama pracowała od świtu do zmroku, aby ten dwór, jej cały świat, działał niczym najdoskonalsza naoliwiona maszyna rolnicza.

Oj, te maszyny rolnicze, do niedawna przedmiot nieustających rozmów obu braci, już i jej się rzuciły na wyobraźnię. Julian ciągle je rysował, konstruował, wreszcie produkował we własnej fabryce, sobie na uciechę, światu na pożytek, a ludowi – dla ułatwienia pracy. Wykształcony na Uniwersytecie Jagiellońskim i w Londynie,



Modlniczanie według rysunku Tadeusza Konopki

kochał górnictwo i hutnictwo miłością godną Konopków i uczuciem tym zaraził młodszego brata, który również w swoich dobrach zapragnął wytwarzać maszyny rolnicze. Ten to był dopiero wulkan energii! Skąd brał siłę na wszystko? Józef Konopka II, z wykształcenia prawnik, później gospodarz Mogilan, ojciec licznej gromadki, rolnik pasjonat, poseł na Sejm Konstytucyjny w Wiedniu i Sejm Krajowy w Galicji, a przy tym społecznik, wszechstronny naukowiec, któremu równie bliskie były zagadnienia pasterstwa, jak entomologia, historia kraju i rodziny,



Dwór w Modlnicy, okrężne, czyli dawniej dożynki w Modlnicy, rysunek z 1874 r.

a nade wszystko kultura ludowa. Tak bardzo zaskoczyła rodzinę jego nagła śmierć w 1880 roku. Na pogrzebie Józefa to właśnie Oskar Kolberg przeczytał zasady życiowe zmarłego przyjaciela: „Pracuj tak, jakby praca twa trwać miała wieki. Żyj tak, jakbyś umierać miał jutro. Służ krajowi, nie licząc na wdzięczność i uznanie ludzkie. W miejscu, które ci Pan Bóg przeznaczył, pełnij obowiązki, bez względu na to, czy rzecz małej, czy wielkiej jest wagi".

Myśl o zmarłym bracie poruszyła ją. A jednak nie pora była na łzy, za chwilę przyjdą wieczerzać zapracowani domownicy, rezydenci i goście. Otarła je szybko wierzchem dłoni. Wiśnie. Konfitury z wiśni najlepiej będzie podać na wety po kolacji. Wyborne wyszły tego roku. Kolbergowi posmakują. On nieśmiały, nigdy nic sam z siebie nie żąda, co najwyżej tego, co potrzebne do pisania: atramentu i nafty do lampy. To są jego skarby. Poranną kawę i mocną herbatę na wieczór z wdzięcznością przyjmie. Ale prawdopodobnie mógłby nie jeść, całymi godzinami zajęty pisaniem, byle jak odziany i pogarbiony nad stołem w przechodnim pokoju. Gdyby nie zadbała o niego, jego zdrowie i wygody, o jego wieczny kaszel i ciepłe kapcie, już by pewnie dawno marnie skończył. I nie pragnęła nic w zamian. Tylko żeby był.

„Posłuchajcie, panieneczki, co wam zanucę, Ojca, matki nie słuchałam, teraz się smucę, / Matka mi zakazywała, bym z chłopcami nie gadała, jam nie słuchała" – wyśpiewywała dalej dziewczyna kuchenna.

– Poczekajże, Helka, jeszczem tego nie słyszała, od razu zanotuję – zatrzymała się nagle Antonina. Ruszyła po swój kajet, w którym od lat zapisywała opowieści, zagadki, piosenki. Otworzył się sam na tej stronie, gdzie Jadwiga Kaźmierzowa Skoczkowa opowiadała o ziołach. I wszystko tam było, i pytania Antoniny, i odpowiedzi Skoczkowej, wiernie słowo w słowo: „O tak ci ta, Wielmożna Pani, i to, i owo głowy się mojej uczepiło. Matka moja dużo wiedziała, do doktorki chodziła, ja się też nasłuchałam przy niej cejco, wiem, czego ludzie nie wiedzą, bo dziś nie stoją o to kobiety, żeby co wiedziały – inszy świat, proszę Wielmożnej Pani. Tylko w karczmie siedzieć, gorzałkę pić, z chłopami babom grzeszyć, a jak co do czego, dopiero:

– Powiedzcie, Kazmierzowa, bo wy znacie!

– Znam ci ja, znam, ale jak umrę, już nic nie powiem. Dobrze, że Wielmożna Pani zapisze, choć pamiętność zostanie w pisaniu, gdyż do tego u nas przyjdzie, że za lat parę kobiety, lekarki wsiowe, ziół pożytecznych poznawać nie będą.

– Więc dobrze, mówiemy dalej o ziołach – wszystkie sekreta wasze chcę wiedzieć, zapisać".

Uśmiechnęła się do tego zeszytu. Ile to godzin pisała ten *Raptularz*, aby się to jemu przydało do publikacji! Teraz jednak nie czas był po temu, by się zanurzać we wspomnieniach. Uchwyciła ołówek. Złamany? Musiał komuś spaść z biurka. Nawet nie było czym zaostrzyć, pewnie bratanice przyborów nie odłożyły na miejsce, oj będzie za to bura, gdy je tylko spotka! Nie było więc rady, pióro i atrament trzymał Kolberg w swojej szafie, jak relikwie jakieś. Pospieszyła do jego skromnego pokoiku, z konieczności zawsze otwartego, bo się tamtędy przechodziło jeszcze do pokoju Juliana i jego garderoby. Otwarła wiszące na jednym zawiasie drzwi szafy, złapała atrament i poczuła ukłucie niepokoju, bo przecież bez pytania. Czy musiała pytać? Ona to sama ten atrament zamawiała raz w miesiącu i za niego płaciła. Jak i za każdą rzecz, z której przyjaciel korzystał w jej domu. Na pewno by chciał bardzo



Dwór w Modlnicy od frontu z charakterystycznym świetlikiem, 1926

mieć tę piosnkę zapisaną do zbioru. To dla niego najważniejsze! Jednak zawahanie spowolniło jej ruchy, wzrok padł na list zaczęty, niedokończony. I nogi się pod nią ugięły. Nie wolno, nie wolno czytać cudzych listów! Całe życie wierna tej zasadzie, teraz ją złamała, sama nie wiedząc kiedy. Kolberg pisał do kogoś wyraźnie o zamiarze przeprowadzki. Jak to? Tak nie mówiąc nic nikomu? Tym tylko tłumacząc, że czuje starość, chorobę, i nie chce obcej rodziny swoją osobą kłopotać? Obcej? Tak mówił o Konopkach? A dopiero co dedykował im swoją publikację: „Przezacnej Rodzinie Konopków w Tomaszowicach, Modlnicy i Mogilanach w dowód długoletniej przyjaźni".

Przecież czuła się niezastąpioną przyjaciółką. Taką, do której pisze się listy na każdy temat. Choć to bardziej była jej potrzeba i jej listy do niego. Potem zmagała się z zazdrością, gdy jej opowiadał, że w każdym dworze, gdzie się zatrzymywał na badania etnograficzne, znajdował pomocników, co to z nim chodzili pod strzechy, aby notować i rysować. Najczęściej młodzież albo nauczycielki i wszelkie rezydentki. Ale próżno trwać w tej zazdrości, on nawet pewnie nie zauważył, jak one wyglądały, tak bardzo zapatrzony w ten swój lud. Do niej wracał, do Modlnicy i tylko to się liczyło. Aż do teraz.

Nakazała sobie spokój. Wzięła kałamarz i pióro, wróciła do kuchni i powiedziała Helusi, żeby zaśpiewała od nowa, mimo że dziewczyna zarzekała się, iż pan Kolberg już to wcześniej zapisywał. A potem poszła poszukać samotności.

Myślała, że są bratnimi duszami. Pogodziła się, że nigdy nie będzie nic więcej. Ale czy tak musi być? Przecież mógłby tu zostać na zawsze. Jako jej mąż. Tylko że on sam na to nie wpadnie. To ona musi podjąć decyzję. To postanowiwszy, obejrzała raz jeszcze piosnkę zapisaną w brulionie i aż się wzdrygnęła.

„Boć to ta panieńska cnota jak pajęczyna / przebije ją choć paluszkiem lada chłopczyna / I trzeba to z tym ostrożnie, bo to między ludźmi różnie, zwyczajnie bywa".

Naprawdę już był zanotował te słowa? Czy on w ogóle coś z tego rozumiał? Nie czerwienił się, gdy pisał? Cały Kolberg. Nie pojmował najważniejszego, że ornamentem życia jest miłość.

Tego wieczoru kolacja ciągnęła się dla niej w nieskończoność. Dyskusje o edukacji, rolnictwie, polityce płynęły jej mimo uszu, podobnie jak utwory wygrywane na pianinie przez bratanice i samego Kolberga. Wreszcie goście odjechali, domownicy

zaczęli się rozchodzić. Poprosiła go o chwilę rozmowy. Powiedziała mu, co jej leży na sercu. A on milczał.

– Niechże Pana Dobrodzieja nie krępuje obawa. Związek małżeński w tym wieku nie jest niczym niebywałym. Pan masz lat siedemdziesiąt, ja pięćdziesiąt siedem. Żyć możemy jeszcze długo, byle w zdrowiu i zadbaniu, co przecie ja panu zapewniam przez te wszystkie lata. Rodziny nasze zrozumieją, nieraz podejmowałam braci, bratowe i bratanice Pana Dobrodzieja, znają mnie już jak swoją. A Tyś jest tu nasz. Cóż odpowiesz, panie Oskarze?

Pierwszy raz nazwała go po imieniu. A on stał tylko, chudy i przygarbiony w tym swoim jedynym wieczorowym fraku, patrzył na swe zniszczone buty i czesał się. Zawsze tak robił, gdy się czuł niepewnie, rozczulał ją tym gestem, ale nie tym razem. Podniósł wreszcie powieki, spojrzał jej w oczy i rzekł:

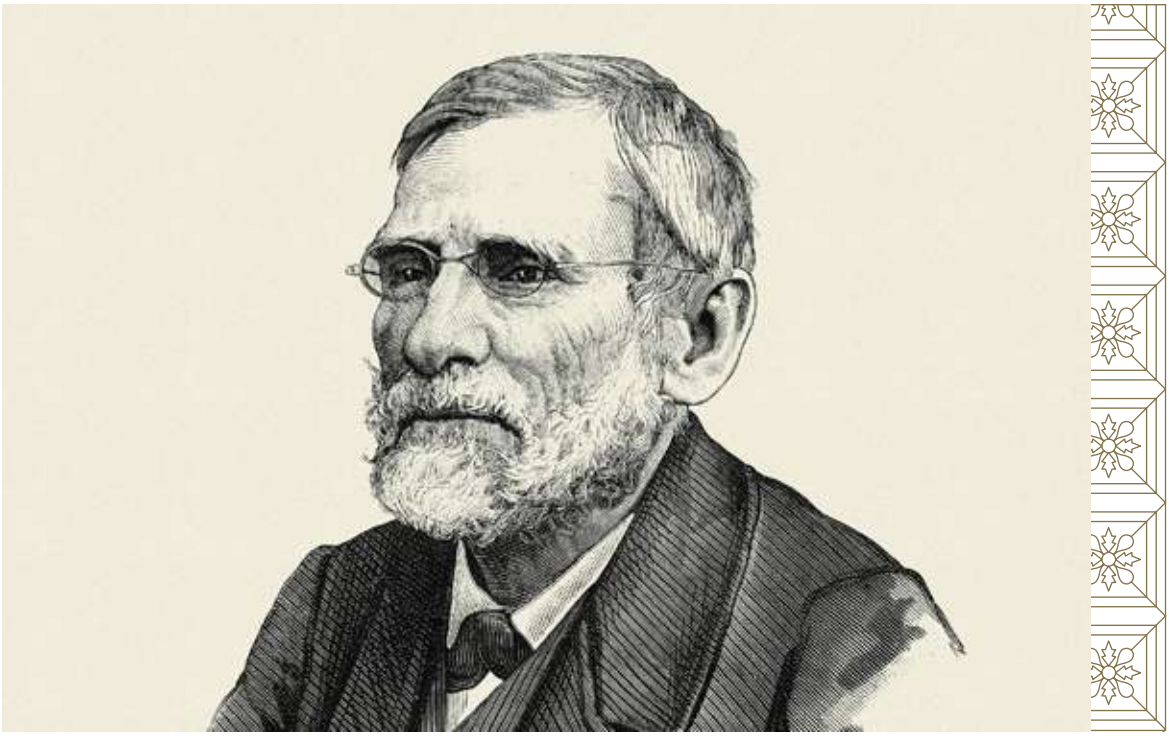
– Panią Dobrodziejkę o jedno spytać pragnę. Czy starczy nafty na dziś wieczór?



Antonina Konopczanka, 2. poł. XIX w.

Następnym razem mogła spokojnie na niego patrzeć dopiero w 1889, na uroczystym jubileuszu zorganizowanym w Krakowie z okazji pięćdziesięciolecia jego pracy etnograficznej przez środowisko naukowe. W wieku siedemdziesięciu pięciu lat trzymał się znakomicie, ścigał się jednak z nadchodzącą śmiercią, porządkując materiały, aby po jego odejściu nie poprzestać na wydanych dotychczas trzydziestu trzech tomach *Ludu*, lecz dokończyć dzieło, przeznaczone na około osiemdziesiąt woluminów. I tak się też stało. Antonina, obecna na pogrzebie przyjaciela w czerwcu 1890 roku, usłyszała z ust duchownego ewangelickiego zdanie, które Kolberg wypowiedział na dzień przed śmiercią: „Umieram, Bogu dzięki, z tą pociechą, że nikt mię za próżniaka nie ma i mieć nie będzie, a to, co po sobie zostawiam, przyda się ludziom na długo".

Potem, po długiej chorobie, zmarł Julian Konopka. Antonina samodzielnie gospodarowała w Modlnicy aż do śmierci w 1905 roku. Dwór zapisała w testamencie



Oskar Kolberg, rysunek Aleksandra Regulskiego z ok. 1881 r.



Modlniczanka, fot. po 1965

wnukowi swego brata Józefa, Adamowi Konopce II. Nie zdążyła się już dowiedzieć, jak ogromne wrażenie zrobiła na wiedeńskim dworze jego delegacja nosząca modlnickie stroje ludowe na jubileuszu sześćdziesięciolecia panowania cesarza Franciszka Józefa. Nie zobaczyła też sprowadzonego z katedry wawelskiej do modlnickiego kościoła pięknego tempietta pełniącego funkcję tabernakulum, dzieła mistrza Giovanniego Marii Padovano. Z pewnością doceniłaby zdobiące je kunsztowne arabeski i groteski.

Odchodząc z tego świata, Antonina Konopczanka martwiła się szczerze, że nie ma spadkobiercy tej pasji, jaką Oskar Kolberg i ona sama poświęcili ludowej tradycji Modlnicy. A jednak się taki pojawił. Józef Lachner. Skrzypek, umiejący jednak grać na wszystkich instrumentach. Nauczyciel, który trzymał dyscyplinę smyczkiem, dzięki czemu trzy generacje modlniczan umiały grać, śpiewać i tańczyć. Kochający Modlnicę folklorysta, zbieracz ludowych melodii, instrumentów i wszelkich etnograficznych zabytków. Twórca kapel i teatru ludowego. W wolnym czasie malował, ozdabiając ławy, krzesła, skrzynie wianne charakterystycznym podkrakowskim ornamentem roślinnym na zielonym tle.

I te skrzynie, te skrzynie zielone, tak pieczołowicie przechowywane przez kolejne pokolenia mieszkańców Modlnicy, stanowią ich dumne wiano: materialny ślad pasji Józefa Lachnera, misję etnograficzną Oskara Kolberga i Antoniny Konopczanki oraz podkrakowską tradycję ludową, w której się zakochali.



MUZEUM TWÓRCZOŚCI
WŁADYSŁAWA WOŁKOWSKIEGO

Z wikliny powstałeś

Jakub Kornhauser

Nad Szreniawą cisza, gdzieniegdzie pola kapusty, drobne sady i podmokłe łąki. Wystarczy zjechać z ruchliwej szosy łączącej Wolbrom z Miechowem, hop-siup błotnistym wąwozem w stronę rzecznej doliny, i już je widać: dudki. Czatują na byle słupkach sterczących z ziemi, myszkują między płotami, czubki rozcapierzyły jak punki swe irokezy. No a jak dudki, to wiadomo, że wierzby. A wierzb w Sulisławicach sporo, choć nie tyle, ile musiało tu rosnąć przed stu laty. Cieśli w okolicy nie brakuje, więc nie powinno dziwić, że co drugie dziecko przychodzi na świat z fachem w rękach. Z drewnem jest się tu za pan brat. Z drewnem tak, ale z wikliną?

„Matce nie mogę nawet napisać, że uczę się koszykarstwa. We wsi zaraz by mnie wyśmiali, żem dziad albo inwalida" – te słowa pisze młody Władysław Wołkowski, rodem z Sulisławic, rozpoczynający już w niepodległej Rzeczypospolitej edukację artystyczną. Uczy się w Szkole Rzemiosł Budowlanych w legendarnym Kazimierzu Dolnym nad Wisłą – to spod Miechowa krok wielki i odważny, niczym te Neila Armstronga i Buzza Aldrina; dość jednak o Księżycu, Szreniawa nawet przy Wiśle to byle potoczek, świat malarstwa też jakby daleki, prawie niedosiężny. Za radą dyrektora szkoły Jana Koszczyc-Witkiewicza Władysław czerpie z ojczystej ziemi: choć zaczyna od malarstwa, płótno migiem zamienia na plecionkę. Na efekty nie trzeba czekać długo – utalentowany adept wikliniarstwa odbywa dwuletni staż w warszawskim Towarzystwie Popierania Przemysłu Ludowego, odnosi pierwsze sukcesy – bierze udział w projektowaniu mebli na Międzynarodową Wystawę Sztuki Dekoracyjnej i szykuje się do studiów w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych.

Zanim jednak akademia pozwoli mu rozwinąć skrzydła i pociągnie do krajowych i międzynarodowych laurów, Wołkowski kształtuje swoje rzemiosło, prowadząc kursy wikliniarskie w najprężniejszych ośrodkach w Polsce: w Biłgoraju, Kraśniku, Krzeszowie i przede wszystkim w Rudniku nad Sanem. Tam uczy młodych plecionkarzy i zatrudnia się w manufakturze Ferdynanda Hompescha, gdzie pobiera nauki od doświadczonych majstrów. Widzicie, jak to się układa: najpierw skromne Sulisławice, teraz Rudnik, a właściwie to elegancki Wiedeń. Majstrowie zaznajamiają bowiem przyszłego studenta z wiedeńską technologią wyplatania i z historią wikliniarstwa. To już nie obśmiewany przez kolegów z wioski folklor, tylko żywo rozwijający się prąd w sztuce światowej.

„Okres rudnicki" będzie miał szczególnie ważny, powiedzielibyście wręcz formacyjny charakter w karierze artystycznej Wołkowskiego; zupełnie jak, nie przymierzając, okres błękitny u Picassa. Nie dość, że umocni go w przekonaniu o istotnej roli, jaką może odgrywać plecionkarstwo w kształtowaniu nowych form wyrazu przy jednoczesnym zakorzenieniu w lokalności – w końcu mówimy o działalności ściśle powiązanej z tradycją ludową – to jeszcze wpłynie na ukształtowanie się jego teorii sztuki. Studia w Warszawie tylko pogłębiają ten kierunek. Wołkowski kończy trzy fakultety: pedagogiczny, malarski u Mieczysława Kotarbińskiego i wnętrzarski u Wojciecha Jastrzębowskiego.

To w dużej mierze dzięki Jastrzębowskiemu, z którym miał styczność już wcześniej, zgłębia nauki ścisłe i przyrodnicze, rozbudowując swoją wizję sztuki, która powinna czerpać z nauki precyzję ruchów, rytm i symetrię, doskonałość wykonania przy jednoczesnej prostocie formalnej. Nie ma co, w drugą połowę lat trzydziestych Władysław Wołkowski wkracza z przytupem, jako w pełni ukształtowany artysta o wyrazistych poglądach i coraz bardziej znaczących sukcesach. Pracuje w Państwowym Instytucie Robót Ręcznych i Spółdzielni Artystów „Ład", rozpoczyna także współpracę z Zakładem dla Ociemniałych w Laskach, gdzie kieruje pracownią rzemiosła; wróci tam zresztą na kilkanaście miesięcy pod koniec lat pięćdziesiątych.

„Konstrukcja harmoniczna", jak określa swoją teorię, będzie przeciwstawiać się masowości produkcji: każdy artefakt ma być osobnym bytem, którego walory estetyczne powinny równoważyć aspekty praktyczne. Oczywiście nie jest w tych poszukiwaniach odosobniony: wprowadzali je w życie w pierwszych dekadach XX wieku

czescy i holenderscy funkcjonaliści, konstruktywiści rosyjscy i niemieccy, cała Europa zafascynowała się nowymi możliwościami w architekturze, malarstwie, ale i w sztuce użytkowej. Użytkowość zresztą znaczyła już coś innego niż wcześniej. Dzisiaj fascynujecie się krzesłem Gerrita Rietvelda, szperacie po aukcjach za meblościankami z socjalistycznych czechosłowackich fabryk, za skandynawski design w rozsądnej cenie dalibyście się pokroić i zjeść z sałatką, ale swego nie znacie; przedmioty mające służyć człowiekowi dawno wyzwoliły się z licznych jarzm i działają na własną rękę (duża ich część raczej na nogę).

Awangardowo ujmowane przedmioty porzucają utarte konteksty i zjawiają się tam, gdzie ich dotychczas nie chciano, markują zwyczajność, by uszykować coś specjalnego: drobne smaczki, niuanse – jak u Wołkowskiego: niby wiklina, niby trzcina, len, sznur, tu Kurpie, tam głowa Boruty, jeszcze gdzie indziej Wanda w falach Wisły na spółę z chochołami, narodowe symbole pod ramię z nowatorską konwencją,



Mieszkanie i zarazem pracownia Władysława Wołkowskiego przy ul. Marszałkowskiej 17 w Warszawie, od lewej: Witold Olejarczyk, Władysław Wołkowski, bratanica artysty Joanna oraz Krzysztof Bojanowicz, 1971

dekonstruowanie klasyki. Nie tylko meble, lecz i wiklinowe portrety, pejzaże, makaty i „strojeńce" – wielkowymiarowe kompozycje ze sznura konopnego. Wołkowski często wraca do Sulisławic, trochę po wytchnienie od brunatniejącej rzeczywistości, trochę po natchnienie – krajobraz z wierzbami nad Szreniawą wpływa na jego zainteresowania terenoplastyką; próbuje z pomocą sąsiadów ze wsi zmaterializować swą wizję pomnika generała Władysława Sikorskiego, lecz wojenne realia i fakt, że nazwisko Wołkowski widnieje na liście poszukiwanych przez Gestapo, zmuszają go do rezygnacji z pomysłu. Tym chętniej wnika w tkankę lokalną, jeszcze intensywniej eksplorując możliwości, jakie dają prosta wierzbowa witka czy źdźbełko trzciny.

Prościej i bardziej swojsko być nie może, a tu zaskok na całego, Europa zachwyca się i chce więcej. Wołkowskiego, współautora wystroju wnętrz pawilonu polskiego na Światowej Wystawie Sztuki i Techniki w Paryżu w roku 1937, uhonorowano złotym medalem; wyróżniono go także podczas Targów Światowych w Nowym Jorku



Fotel projektu Wołkowskiego oraz stół projektu Hanny Lachert prezentowane na II Ogólnopolskiej Wystawie Architektury Wnętrz w 1957 r.

dwa lata później. Po wojnie komplety mebli wyjeżdżają do ambasad, instytucji i hoteli. Nie czarujmy się: też byście chcieli choćby krzesełko z serii literek, przypominającej eksperymenty czeskich poetystów czy Władysława Strzemińskiego. Coś, co w zamierzeniu miało wyrastać z polskiej gleby, okazuje się na wskroś uniwersalne; do dziś prace Wołkowskiego są inspirujące, niektóre z nich swą aktualnością przewyższają projekty twórców neoawangardy. Ten paradoks będzie wyznacznikiem jego artystycznych wyborów, choć jednocześnie pozostawi go w pół drogi między sztuką nowoczesną a tą zahaczoną w tradycji, co przełoży się na dalsze lata jego aktywności.

Wołkowski po wojnie na stałe osiada w Warszawie, przez dekady związany jest z Cepelią, Biurem Nadzoru Estetyki Produkcji (protoplastą Instytutu Wzornictwa Przemysłowego), pracuje w Ministerstwie Kultury i Nauki, prowadzi kursy wikliniarskie w różnych placówkach, w tym samym czasie uczestniczy w licznych wystawach w Polsce i za granicą. Zajmuje się też doglądaniem swoich interesów:



Fotele projektu Władysława Wołkowskiego na tarasie hotelu Merkury w Poznaniu, lata 60. XX w.

na fali zainteresowania sztuką ludową całe zastępy imitatorów próbują swoich sił w produkowaniu seryjnych „Wołkowskich" i opychaniu ich na Zachodzie po „preferencyjnych" cenach. Kończy się na tym, że zrezygnowany artysta, wciąż wierny idei niepowtarzalnych, własnoręcznie wykonywanych artefaktów, separuje się od środowiska artystycznego. W swojej pracowni przy Marszałkowskiej tworzy ostatni bastion prawdziwej sztuki, rozwijając koncepcję „mieszkania poetyckiego", kolejnej z teorii, które godziły awangardowe nowatorstwo z ideą powrotu do źródeł.

Wiecie, to jak w życiu: historycy sztuki do dziś się spierają, czy „mieszkanie poetyckie" było czymś więcej niż tylko utopijnym manifestem. Faktem jest, że Wołkowski konsekwentnie nawołuje do powrotu człowieka w objęcia natury, a jeśli wracać nie będzie się nam chciało, bo daleko, zimno i w ogóle nie ma czasu, to niech przynajmniej natura pofatyguje się do nas. Meble powinny być wykonane wyłącznie z naturalnych surowców, harmonię miały ponadto zapewniać różnorodna roślinność i odpowiedni balans między ciszą a muzyką. Jeśli obrazy, to wiklinowe, do tego wyplatane patery, kilimy, stojaki. Przede wszystkim należało zrezygnować z wypaczeń rozwijającej się w ogromnym tempie technologii, która nie tylko była zagrożeniem dla strategii twórczej opartej na rękodziele, lecz także promowała kult standaryzacji, banału i nudy, a co za tym idzie – przeczyła wartościom duchowym zasilającym proces myślenia o sztuce jako rezerwuarze praktyk, które mogą wpływać na utwierdzanie tożsamości – zarówno zbiorowej, jak i osobistej – lub na dyskusje z nią. Masowo wytwarzane przedmioty Wołkowski nazywa „nudnymi plackami", „nieskończonymi bliźniakami" i coraz chętniej sięga po inspiracje sztuką dążącą do doskonałości, a przy tym mającą ponadczasowe znaczenie – chińską, egipską, gotycką. Twierdzi, że otoczenie, w którym żyje człowiek, przekłada się bezpośrednio na jego samopoczucie, ale i na wewnętrzną, psychofizyczną harmonię. Taką, jaką zapamiętał z dzieciństwa w Sulisławicach.

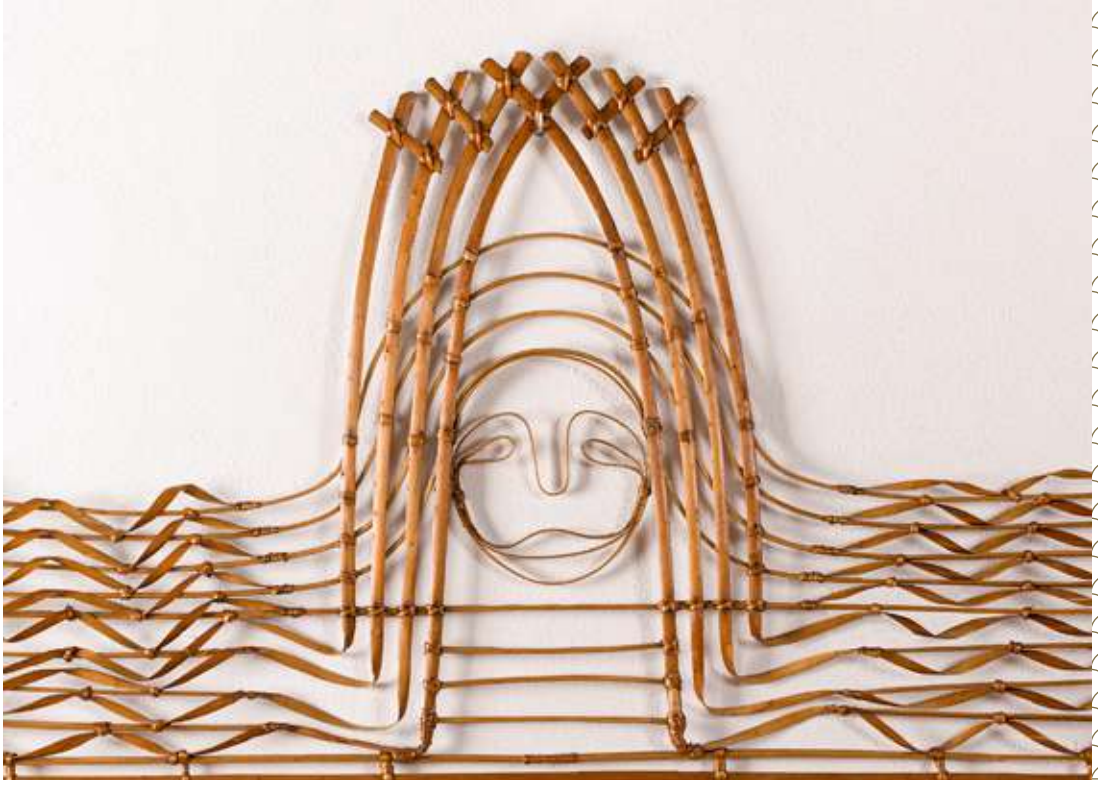
Tymczasem ledwie kilkadziesiąt kilometrów na południowy zachód od tych sielskich krajobrazów wyłania się metropolia zachodniej Małopolski: Olkusz. Rowerem z Sulisławic przejedziecie w dwie–trzy godziny, w klimatach najpierw pagórkowatych, później wśród jurajskich piachów. Wierzby stopniowo ustępują miejsca sosnom, szeroko rozciągające się pola – wapiennym ostańcom, krowom i koniom ukazują się zaś mocni rywale: łosie i jelenie przechadzające się niespiesznie śródleśnymi duktami.



Władysław Wołkowski pośród własnych prac w dworku Machnickich w Olkuszu, lata 70. XX w.



Fotel z kompletu meblowego Bachmaty; nazwa jest nawiązaniem do koni rasy tatarskiej, przed 1967



↑ Wanda w falach Wisły, przed 1956

↓ Taboret, w PRL-u podobne sprzęty robiono z żyłek czy parcianych pasów, lata 50. XX w.



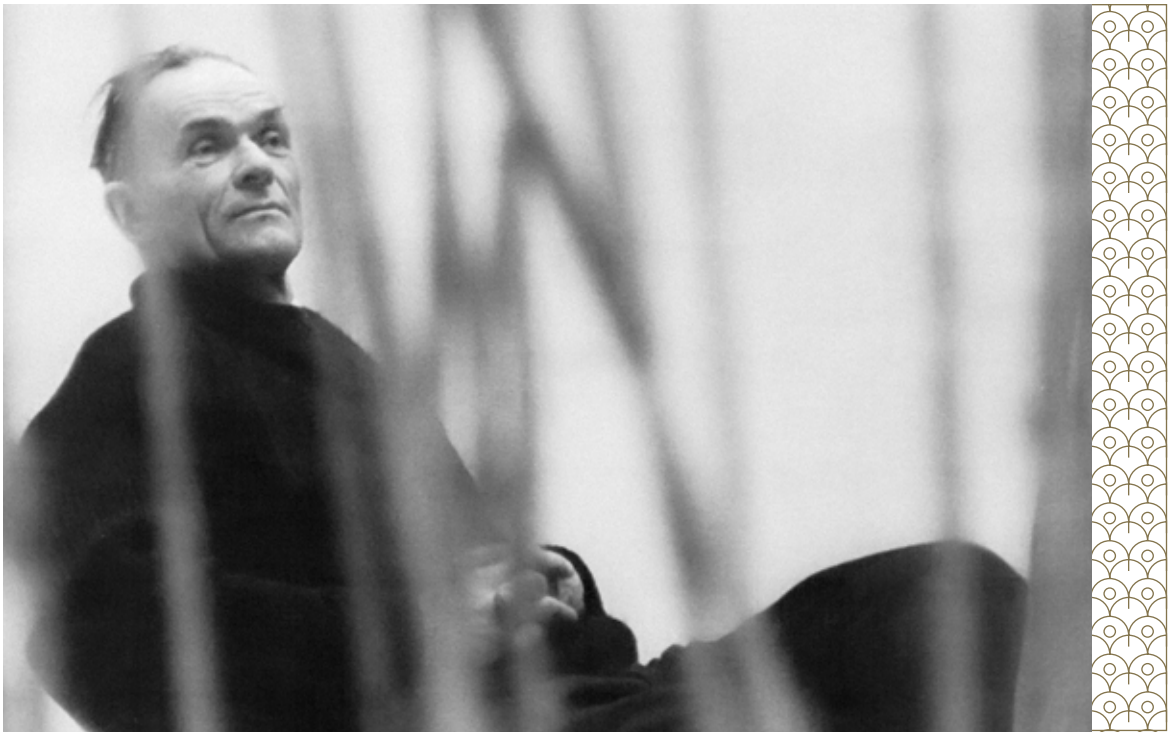
To właśnie w Olkuszu, w pochodzącym z połowy XIX wieku dworku Machnickich (wybudował go Bonifacy Machnicki, ówczesny rachmistrz biura naczelnika powiatu olkuskiego) znalazła bezpieczną przystań kolekcja prac Władysława Wołkowskiego. Rzecz jasna, Olkusz nie znalazł się w tej historii przypadkiem: od lat sześćdziesiątych Wołkowski bywał tu częstym gościem, lokalne środowisko artystyczne chętnie mianowało go kimś w rodzaju nieformalnego patrona, a w roku 1970 przy wsparciu władz lokalnych otwarto wystawę jego twórczości, której założenia przygotował sam autor; w pewnym stopniu przetrwały one do dzisiaj.

Wprawdzie stojące za tym przedsięwzięciem idea harmonijnej konstrukcji i koncepcja mieszkania poetyckiego nie są najłatwiejsze do zlokalizowana – wiecie, to jakby szukać świętego Graala albo przynajmniej czterolistnej koniczynki – to coś z ducha poszukiwań Wołkowskiego olkuska wystawa zachowała. Trudno orzec, czy chodzi o samą ekspozycję, która prezentuje jego dokonania przekrojowo – skupiając się osobno na meblach, makatach, strojeńcach, portretach i innych drobnych przedmiotach – czy o samą przestrzeń dworku Machnickich, który wraz z sąsiadującymi z nim dawnym domem sióstr zakonnych od św. Wincentego à Paulo, czyli szarytek, i klasycystycznymi budynkami dawnej Ochronki św. Marcina z początku XX wieku oraz szpitala św. Błażeja, działającego od połowy wieku XIX, tworzy w istocie niebanalny, ale i autentycznie przyjazny dla ducha teren; nie powinniście się zatem dziwić, że prace Władysława Wołkowskiego mają się tu dobrze – bo mają się dobrze, co jest zasługą nie tylko muzeum jego imienia, lecz także innych oddziałów Miejskiego Ośrodka Kultury w Olkuszu, z którymi ekspozycja dzieli przestrzeń, w szczególności sal Muzeum Afrykanistycznego mieszczącego się piętro wyżej.

Kolekcją – możecie to łatwo zauważyć, nawet jeśliście nieco umorusani jazdą rowerem w trudnych warunkach i mieni się wam w oczach – Muzeum Twórczości Władysława Wołkowskiego dysponuje przyjazną i zachęcającą do interagowania. No bo jak tu nie ulec „czarownej mocy atrakcji", by przywołać klasyczną frazę Hartmuta Böhmego, wyplatanych własnoręcznie przez patrona foteli, stolików i stołów z krzesłami, kompletów bardziej lub mniej reprezentacyjnych. Słynne krzesła ślimaki, barany, niedźwiedzie i koziołki w komplecie nęcą opływowymi kształtami: to nie jakieś tam chropowate kanciaki, tylko meble delikatne i łagodne, co szepczą „siądź na mnie" i tylko wasze rowerowe gatki z lycry wolałyby tego nie próbować, wieszcząc

niechybne rozszarpanie o wiklinowe siedzisko. Zanim skonstruowana przez Wołkowskiego maszyna wspomogła go w odkształcaniu wierzbowych witek, twórca sam zajmował się naginaniem – materiału i konwencji. Metalowe stelaże, na których trzyma się plecionkowa forma, stanowią wprawdzie niezbędne rusztowanie, lecz sam koncept tkwi w zestawianych i łączonych z precyzją zegarmistrza pasach wikliny.

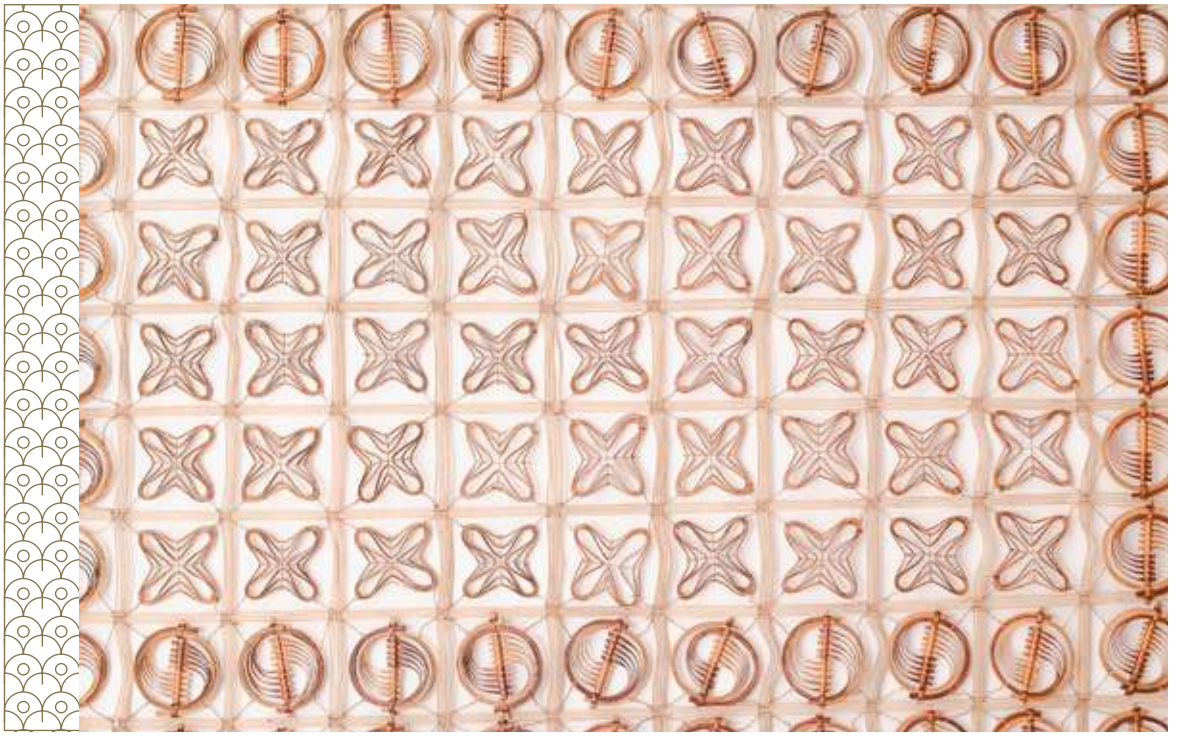
Myśl o znoju, jaki wiąże się z ich zdobywaniem, namaczaniem i wyginaniem, a następnie wiązaniem w formy trwałe i zgodne z poszczególnymi projektami, towarzyszy wam i walczy o lepsze z podziwem dla niebywałej różnorodności gatunkowej, z jaką mamy do czynienia, ale i dla wielokształtności pojedynczych prac w obrębie przyjętej formuły. Każdy z portretów legendarnych władców, postaci fikcjonalnych oraz przedstawicieli typowo „polskich" zawodów – od Rzepichy, przez Krzyżaków i księcia Witolda, po Kmicica, rozmaitych górników, kapłanów czy rycerzy – ma niepodrabialny urok. Ledwie kilkoma zagięciami wiklinowych witek Wołkowski nadawał



Władysław Wołkowski pośród witek wikliny, lata 60. XX w.

bohaterom indywidualne rysy i charakter. Delikatna, niemal ażurowa forma często kontrastuje z mocnym wyrazem całości, coś jakby szlachetność i stanowczość nieustannie rozpychały się w walce o pierwszeństwo. Podobnie jest zresztą z akcesoriami jagiellońsko-husarskimi, którym dla towarzystwa dodano drobniutkie wyplatanki „ptasie", świadczące o niezwykłym darze obserwacji – wy, ptakoluby, docenicie choćby jaskółki wracające na wiosnę, nieco japońskie, nieco awangardowe, ale w pierwszej kolejności sulisławickie.

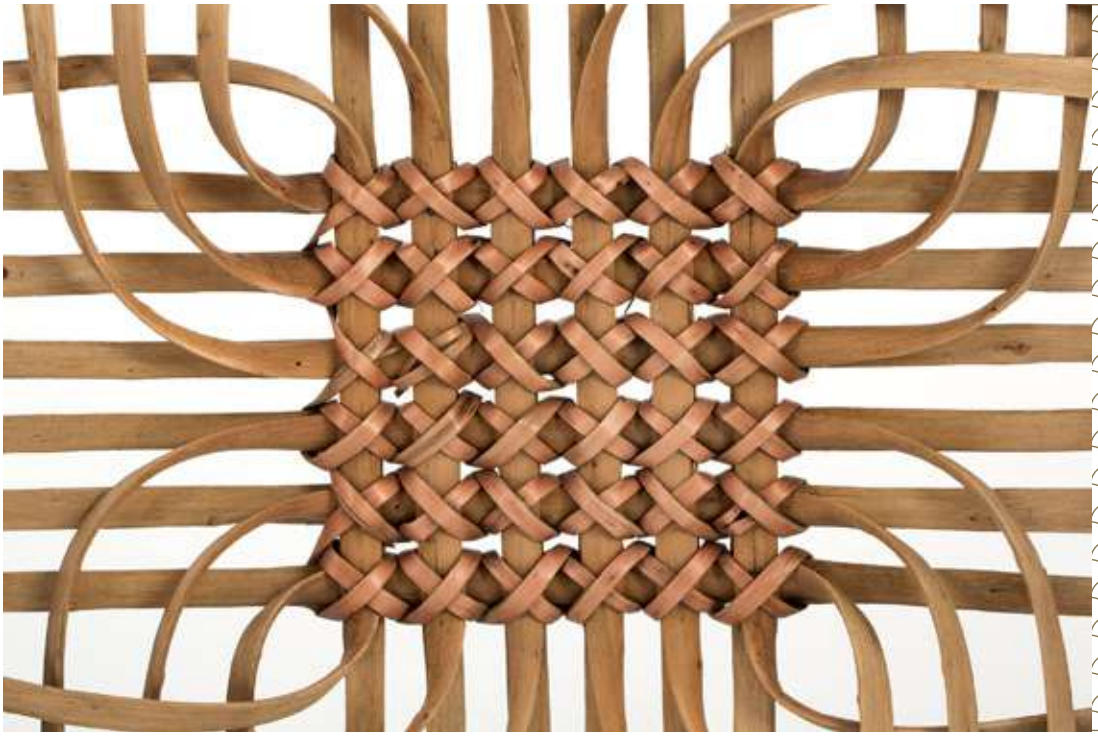
Wielkie wrażenie zrobią na was także strojeńce i makaty, zarówno te wiszące, przypominające sznurkowo-wiklinowe dywany lub – zwłaszcza niektóre – sztandary Władysława Hasiora. Nawiązują w zamyśle autora do kilimów zdobiących polskie domy i chaty, a ich tematyka oscyluje między historią a abstrakcją. Koncept jest szalenie ciekawy, bo skupiają się w nim poszukiwania formalne – a eksplorowanie dużych form jest charakterystyczne dla polskiej sztuki konceptualnej drugiej połowy



Fragment renesansowej makaty autorstwa Władysława Wołkowskiego, 1957

XX wieku – i chęć oddania hołdu wartościom ugruntowującym polską tożsamość narodową, co z kolei idzie wbrew nowoczesnym tendencjom charakterystycznym dla twórczości konceptualistów. A jednak wykorzystanie naturalnych materiałów i zindywidualizowany proces twórczy świadczą o przecieraniu szlaków sztuki z przedrostkiem „eko". Podobnie rzecz się ma w przypadku makat naściennych – zwłaszcza „renesansowa", złożona z kilkunastu komórek o kształcie kwadratu (wykonanych przy użyciu cienkiego sznurka), w które wpisano plecione formy przypominające motyle, robi niezapomniane wrażenie; jeśli chcieliście przeżyć na kształt *Misia Uszatka*, *Janosika* i *Rejsu* skondensowanych w jednej pracy – to macie.

Wiklinę możecie uważać za materiał najbardziej polski z polskich. Sam Wołkowski podchodził do sprawy w podobny sposób, choć przecież zmagał się z lekceważeniem ze strony części środowiska artystycznego, dla którego plecionkarstwo było synonimem „ludowizny" utożsamianej raczej z niegroźnym sposobem na spędzanie wolnego czasu



Fragment patery autorstwa Władysława Wołkowskiego, lata 60. XX w.



Władysław Wołkowski w Paryżu (?), lata 30. XX w.

ze znajomymi ze wsi niż „poważną" sztuką, co najwyżej czymś na kształt robienia na drutach czy wycinania drewnianych świątków. Dziwna więc koincydencja, że wiklinowym, napęczniałym polskością pracom Władysława Wołkowskiego dworek Machnickich zaoferował towarzystwo zbiorów afrykanistycznych podarowanych muzeum przez Bogdana Szczygła, patrona placówki. Tu mamy do czynienia z analogicznym założeniem; wszak zarówno rytualne maski, stroje i przedmioty, jak i inne artefakty – tkaniny, biżuteria – wytwarzane są z naturalnych materiałów. Czy wiklina w Sulisławicach i ta w zachodniej Afryce nosi takie samo piętno? Czy również powinna brać udział w wyścigach o to, kto okaże się dobrym patriotą, a komu patriotyzmu braknie na ostatniej prostej?

Spacerujecie sobie po dworku i przylegającym doń terenie; klasycystyczne kolumny skierowane w stronę małego parku ładnie odcinają się od zieleni i błękitnego nieba. Rower gdzieś tam stęka z nerwów, że jeszcze kilkadziesiąt kilometrów wyprawy przed nim. Z fotografii znajdujących się na wystawie spogląda na was świadomy swojego talentu mężczyzna w prochowcu i kapeluszu, idący chodnikiem z miną Gary'ego Coopera, nie – raczej Jamesa Deana. Z trudem rozpoznajecie w nim „Michała Anioła wikliny", twórcę osobnego, nieoczywistego, trudnego do zaklasyfikowania. Nie dlatego, że niedocenionego, przeciwnie, listą przyznanych mu honorów można by wytapetować solidne gmaszysko. Chodzi bardziej o niejednorodną gamę inspiracji twórczych Wołkowskiego, które sytuują się z jednej strony w ramach odkryć awangardy – zwłaszcza jeśli chodzi o funkcjonalistyczne rozumienie formy, wykorzystywanie niestandardowych technik i odwoływanie się do eksperymentów z przestrzenią – z drugiej zaś wpisują w narracje patriotyczne, mocno osadzone w lokalnych tradycjach, wierzeniach, kontekstach historycznych i patriotycznej symbolice. Na co patrzy ten lokalny Dean? Na was czy na samego siebie bawiącego się między wierzbami – iwami i płaczącymi – na sulisławickich łąkach? Próbującego złapać w ręce dudka, który nic, tylko by przesiadywał na wbitych w pole palikach.


AD HONOREM ET GLORIAM OMNIPOTENTI
DEI FIDEISVIS AD VTILITATEM FR ERASMVS
ABBAS FECIT 1 5 3 8

KLASZTOR CYSTERSÓW
W MOGILE

Oślе uszy

Bartosz Sadulski

– Brat Stanisław zniknął.

– Stanisław?

– Iluminator, Claratumbensis[1].

– Przylepka kanclerza Szydłowieckiego i biskupa Tomickiego. Odeszło im się.

– Stracił mecenasów. A matki i dłużnicy puścili się za nim.

– Na jutrzni go nie widziałem. Długo jak zniknął?

– Kilka niedziel.

– Może opat go światu pokazywać nie chce? A może odpoczywa, umęczył się zdobieniem kościoła.

– Pokutę mu nadał, ale za co, to nie wiem. Bibliotekę zdobi. I coś jeszcze.

– Coś jeszcze?

– Dzieło jakieś przywiózł i iluminuje. Ponoć.

– Ponoć.

– To plotka być może. Nie wypada powtarzać.

– Nie wypada.

Nie mylili się braciszkowie szepczący do siebie w drodze na nieszpory tak cicho, że ich głosy nie odbijały się od ścian. Gdyby popatrzeć na nich z drugiego końca krużganka, którym powoli zmierzali w stronę oratorium, można by wręcz odnieść wrażenie, że nabożnie milczą, pochyliwszy głowy, a ich usta poruszają się w bezgłośnej modlitwie. Pogrążeni w niej nie zatrzymali się nawet, jak zwykli to robić każdego dnia, przed namalowanym zaraz po powrocie przez Samostrzelnika *Ukrzyżowaniem*.

1. Clara Tumba, łac. nazwa dla klasztoru w Mogile, stąd Stanislaus Claratumbensis.

Braciszkowie nie modlili się jednak, lecz szeptali o tym, o czym cały konwent zdawał się już wiedzieć: syn marnotrawny, brat Stanisław Samostrzelnik najpierw powrócił po ponad dwudziestu latach od opuszczenia murów klasztoru Cystersów w Mogile, a teraz zniknął ponownie, przepadł jak kamień w wodę. O tym, gdzie był i co robił, odkąd w 1513 roku dzięki protekcji możnowładcy Krzysztofa Szydłowieckiego otrzymał probostwo w Grocholicach koło Ćmielowa, krążyły legendy. Słyszano o długim procesie z krakowskim alchemikiem Mikołajem Lipką, znanym z tego, że spędził lata na próbach odczytania manuskryptu alchemicznego Nicolasa Flamela, który rzekomo stworzył pierwszy kamień filozoficzny, a po ich fiasku Lipka podjął się przekładu *Theorica et practica* Pawła z Tarentu na polski. Samostrzelnik zastawił w 1518 roku u alchemika srebrny kielich mszalny z grocholickiego kościoła. Gdy Lipka po interwencji Szydłowieckiego musiał kielich zwrócić, był niepocieszony, planował go bowiem wykorzystać w procesie transmutacji. Sprawa ciągnęła się latami, doprowadzając Lipkę najpierw do ruiny finansowej, a potem umysłowej, bo widywano go w różnych częściach Krakowa, jak oferował, że za jednego denara zamieni każdy kamień lub metal w złoto, a za dwa pozwoli pociągnąć z butelczyny, w której rzekomo miał eliksir nieśmiertelności. Wielu dało się nabrać, więc nagłe zniknięcie Lipki nie zdziwiło nikogo, a ucieszyło wielu, w tym Samostrzelnika.

Brat Stanisław słynął nie tylko ze swojego niekwestionowanego kunsztu i podążania za artystycznym duchem nowych czasów, ale też z temperamentu, który był najwidoczniej immanentną cechą wielkich artystów: naśladował więc styl Albrechta Dürera, ale i jego narcyzm: podobnie jak niegdyś mistrz z Norymbergi, Samostrzelnik złożony chorobą wysłał do lekarza Zygmunta Starego, legendarnego Józefa Strusia, list z pięknym półnagim portretem, na którym zaznaczył zieloną plamką miejsce, gdzie go od dłuższego czasu pobolewa, z prośbą o natychmiastową ulgę, najlepiej korespondencyjną. Z usług Strusia mógł korzystać do woli, odkąd wykonał dla króla i jego córki Jadwigi wspaniałe modlitewniki.

Regularnie znieważał mieszczan. Izabeli Mekasińskiej, która zapragnęła zamówić u niego portrety pociech, powiedział, że jej dzieci powinny drzeć szaty u prostytutki. Janowi Drabinie zarzucił, że mieszka w lupanarze, a Grapparowej z ulicy Sławkowskiej, że „włóczy się do mnichów, by źle z nimi czynić". Jerzego Ptaśnika z Grodzkiej spoliczkował publicznie, gdy ten odmówił natychmiastowego uregulowania zapłaty,

żądając poprawek w wykonanych przez Samostrzelnika pejzażach w stylu szkoły naddunajskiej, które jego zdaniem były niewystarczająco naddunajskie. Głośno było także o pozwie o alimenty, rzekomo jednym z wielu, mieszczki Katarzyny Drygasczyny. Podobno nawet w trakcie pobytu w Wiedniu Samostrzelnik coś nabroił, być może wtedy właśnie wszedł w posiadanie tajemniczej księgi, którą teraz, u schyłku życia, miał w zamknięciu ilustrować. Powtarzano, że przed wściekłymi dłużnikami i matkami uciekł aż do Włoch, gdzie niejakiemu Michelangelo pomagał ucierać błękitne farby, gdy ten najpierw malował Kaplicę Medyceuszy we Florencji, a następnie przymierzał się do pierwszych prac nad Sądem Ostatecznym w Rzymie. Gdy jednak Samostrzelnik twarz któregoś ze sprawiedliwych mężczyzn przemalował bez zgody mistrza, a wręcz za jego plecami, na podobieństwo Zygmunta Starego, a jednemu z aniołów w lewej lunecie dał własną twarz, został z Italii pogoniony bez prawa powrotu. To tylko część zarzutów, które znamy – nie wiemy, ile z nich zdusili w zarodku



Cystersi wychodzący po modlitwie z kościoła na krużganki, 1937



↑ Klasztor Cystersów w Mogile, rys. Teofila Piątkowskiego, 1837

↓ Zabudowania kościoła pw. Wniebowzięcia NMP i św. Wacława oraz klasztoru Cystersów, 1926



wpływowi mecenasi Samostrzelnika, którym zależało na jego dobrym samopoczuciu. Dbał o to zwłaszcza Szydłowiecki, dla którego priorytetem było dopilnowanie, by jego pupil ukończył prace nad jedenastoma portretami członków rodziny Szydłowieckich, ostatecznie niezwykle udanymi. A i biskup Piotr Tomcki zrobił wszystko, aby to właśnie Samostrzelnik ozdobił ufundowaną przez niego kaplicę w katedrze wawelskiej, w której kazał się złożyć po śmierci.

Opat z Mogiły, dobry, cierpliwy i mądry Erazm Ciołek, krewny słynnego biskupa płockiego o takim samym imieniu i nazwisku, za każdym razem, kiedy pytano go, czy wierzy w przemianę brata Stanisława, czy brat Stanisław nie zawiedzie już swoich braci i w milczeniu odda się Bogu, czy brat Stanisław pokocha znów Chrystusa i całym sobą wróci na łono Kościoła, zwykł odpowiadać tak samo: „Dum spiro, spero”[2]. Ze swoich decyzji o powrocie Samostrzelnika do cystersów nikomu się nie tłumaczył i z nikim o niej nie rozmawiał, zachowywał najściślejsze milczenie, którego nie sposób było złamać. Wieści jednak rozchodziły się szybko, szeptano na krużgankach, szeptano w nawach i zakrystii, szeptano w trakcie tynkowania wnętrz kościoła, szeptano w wirydarzu i zakonnym ogrodzie, szeptano nad młynówką, szeptano pod przeoratem i drzwiami biblioteki, w której zamknięty Samostrzelnik podobno odbywał swoją artystyczną pokutę, szeptano przy armarium i kalefaktorium przy przepisywaniu ksiąg. Szeptanie nie ustawało nawet wieczorem, po komplecie i odśpiewaniu *Salve Regina*, a cały zakon zdawał się delikatnie, niezauważalnie wrzeć, czemu sprzyjało milczenie opata oraz nieobecność, wręcz niewidzialność, Samostrzelnika. Jedynym dowodem świadczącym o jego powrocie była wciąż zamknięta biblioteka, której remont niedawno ukończono, i nikt z niej od tego czasu nie korzystał, oraz szept mnichów, nieustanny szept, cichnący tylko w obecności opata, który zafrasowany sprawami klasztoru zdawał się nie dostrzegać zamieszania, jakie powodują jego nieobwieszczone decyzje. Bóg patrzył, i nie grzmiał, bo miał ważniejsze sprawy na głowie: starał się ze wszystkich sił zapobiec przejściu Danii na protestantyzm, z niepokojem spoglądał też na odkrycie wysp Galapagos, gdzie przetrzymywał swoje ulubione jaszczurki i żółwie, i zupełnie nie w smak były mu działania biskupa Panamy Tomása de Berlangi, przez którego wyspy zaroją się od plebsu. Próbował uniemożliwić wysłanie listu do króla Hiszpanii, ale od początku tego stulecia Bóg był jakiś nieswój.

2. Póki oddycham, wierzę.

Pierwszy namacalny ślad zostawiony przez brata Stanisława pojawił się po ponad dwóch miesiącach od jego powrotu. Jeden z gnuśnych kopistów i łapczywych bibliofili, którzy za rzadki kodeks złamaliby każde z dziesięciu przykazań, brat Mikołaj, wiecznie narzekający, że pisanie to nędzny los, bo wygina kark, zaćmiewa oczy, ściska brzuch i żebra, nawykły marginesy przepisywanych ksiąg ozdabiać komentarzami na temat złej jakości papieru, atramentu lub tekstu, a swoje prace na koniec opatrujący hasłem „Finito libro scriptor saltat pede leto”[3], jeśli książka była niezgorsza, lub „O bone, non ride; vis melius scribere? Scribe”[4], jeśli książka go znużyła, odkrył na nieużywanym pulpicie w najciemniejszym miejscu skryptorium średnich rozmiarów, nieoprawiony kodeks. Nigdy nie widział, żeby ktoś nad nim pracował, ale bez wątpienia intensywnie ozdabiano go kolorowymi iluminacjami, które teraz lśniły przy słabym świetle jego świecy. Pomyślał, że to może jedna z ksiąg sprowadzona przez Jana Taczela z Raciborza, długoletniego opata, który z kapituł generalnych w Citeaux zwoził cenne nabytki, które mnisi następnie przepisywali i ilustrowali, ale w tej księdze było coś niezwykle tajemniczego i przyciągającego. Jej magnetyzmowi nie mógł się brat Mikołaj oprzeć.

Kiedy przyjrzał się bliżej otwartej stronicy, ostatnie włosy stanęły mu dęba: farbami temperowymi i płynnym złotem z wielkim mistrzostwem wymodelowano na niej piękne ornamenty z drobnych półlistków i akantoidalnych liści spiętych dwoma pierścieniami, z kwiatami o mięsistym słupku oraz małych kwiatków na cienkich szypułkach nakreślanych piórem. Złotą literę inicjału wymodelowano pryzmatycznie liniami pióra w sposób naśladujący reliefowe cięcia w kamieniu.

– Toż to renesansowa majuskuła! – pomyślał brat Mikołaj.

– Toż to gnuśny brat Mikołaj! – pomyślała renesansowa majuskuła.

Tę dekorację, przejrzyście skomponowaną i lekką, wykonała ręka biegła w swym rzemiośle, od razu rozpoznał to brat Mikołaj, który może był nieco gnuśny, jednak niewiele bardziej od większości mnichów w tej części Europy, za to z pewnością był o wiele bystrzejszy i obeznany w swoim fachu od swoich towarzyszy, z czego poniekąd też wynikała jego gnuśność. Potrafił rozpoznać fuszerkę i maestrię, a granica między jednym a drugim była często cieniutka jak mysi wąsik. Rysunek odznaczał się pewnością, swobodą, barwy były nasycone i czyste, nigdy nie widział tak pięknych kolorów; wyjątkowa wydała mu się zwłaszcza barwa niebieska, głęboka i piękna

3. Kiedy skryba skończył książkę, może sobie pobrykać.
4. Nie śmiej się. Potrafisz lepiej? Sam napisz.

jak samo Niebo. Było to dzieło pełne słońca, świetnie skomponowane i bezbożnie nowoczesne. Bez wątpienia patrzył na pracę renesansową. Coś się kończyło, jakiś czas się bezpowrotnie zamykał. Brat Mikołaj czuł, jak mroki jego duszy rozświetla światło najnowocześniejszej renesansowej majuskuły. Podobne, chociaż o wiele uboższe i prostsze technicznie zdobienia, o bledszych kolorach, widział w mszale biskupa Tomickiego, jeszcze za jego przemyskich czasów. A mszał tamten ilustrował Samostrzelnik.



Fragment karty z dzieła Jana Długosza *Catalogus archiepiscoporum Gnesnensium* z ozdobnym inicjałem autorstwa Stanisława Samostrzelnika



Portret Krzysztofa Szydłowieckiego autorstwa Stanisława Samostrzelnika w dziele *Liber geneseos illustris familiae Schidloviciae*, przed 1532



Portret Anny z Tęczyńskich Szydłowieckiej autorstwa Stanisława Samostrzelnika w dziele *Liber geneseos illustris familiae Schidloviciae*, przed 1532

„Deus vult”[5], zamruczał pod nosem brat Mikołaj, przeżegnał się i zaczął energicznie wertować kodeks, doświetlając go świecą. Była to słynna *Księga Wojen Jahwe*, uznawana powszechnie za zaginioną, na którą Biblia powołuje się w Księdze Liczb[6]. Miał świadomość, co trzyma w dłoniach, dlatego nie zastanawiając się długo, ukrył ją pod habitem i opuścił na zawsze klasztor w Mogile. Nigdy więcej go nie widziano, a księga przepadła razem z nim.

W nocy braci obudził krzyk dochodzący ze skryptorium. Nietrudno się domyśleć, że krzyczał Samostrzelnik, okradziony z bezcennego kodeksu, nad którym pracował. Bracia nie poznali go: wyglądał na szalonego, włosy miał w nieładzie, wzrok rozbiegany, szaty potargane, w jego brodzie skuliły się wszy. Był to zmęczony, stary człowiek, a nie ambitny młodzieniec, zdolny światowiec, którego zapamiętali. Niektórzy z braci przerazili się. W amoku Stanisław przewrócił pulpit, na którym jeszcze kilka chwil wcześniej stała jego *Księga Wojen Jahwe*. Uspokoił się dopiero na widok opata Erazma, którego obecność działała jak puszczanie krwi – w każdej sytuacji zmniejszała ciśnienie. Poprosił brata Stanisława o spokój i wyjaśnienie sytuacji. Gdy wyszło na jaw, że brat Mikołaj zbiegł z klasztoru razem z kodeksem Samostrzelnika, Erazm nakazał zakonnikom modlitwę i udanie się na spoczynek. On zaś i Stanisław spędzili noc na rozmowach w przeoracie. Malarz po tej kradzieży już nie powrócił do ilustrowania ksiąg, przynajmniej nic nam o tym nie wiadomo, a swoją uwagę skupił na sklepieniach i ścianach klasztoru.

Następnego dnia brat Stanisław uczestniczył w jutrzni, a po niej opat wyjaśnił jego sytuację w refektarzu. Brat Stanisław oficjalnie powrócił na łono cystersów, zapewniwszy, że nie zamierza sprawiać żadnych problemów i pragnie oddać się służbie Bogu i współbraciom, zaprosił wszystkich do biblioteki.

Jej drzwi były od tego dnia otwarte. Stanęli na środku niedużej jasnej sali, na dwubarwnej posadzce. Wzdłuż wysokich ścian ciągnęły się pokaźne szafy biblioteczne: na górnych półkach ciasno poupychano miniaturowe modlitewniki, małe mszały, psałterze, lekcjonarze, antyfonarze, graduały i hymnarze. Niżej Biblie i reguły św. Benedykta, na samym dole trzymano zaś tęgie foliały oprawione w grube, obciągnięte skórą deski, pochodzące z oficyn Augsburga, Bolonii, Brukseli, Dijonu, Esslingen, Kolonii, Mediolanu, Norymbergi, Rzymu i Wenecji.

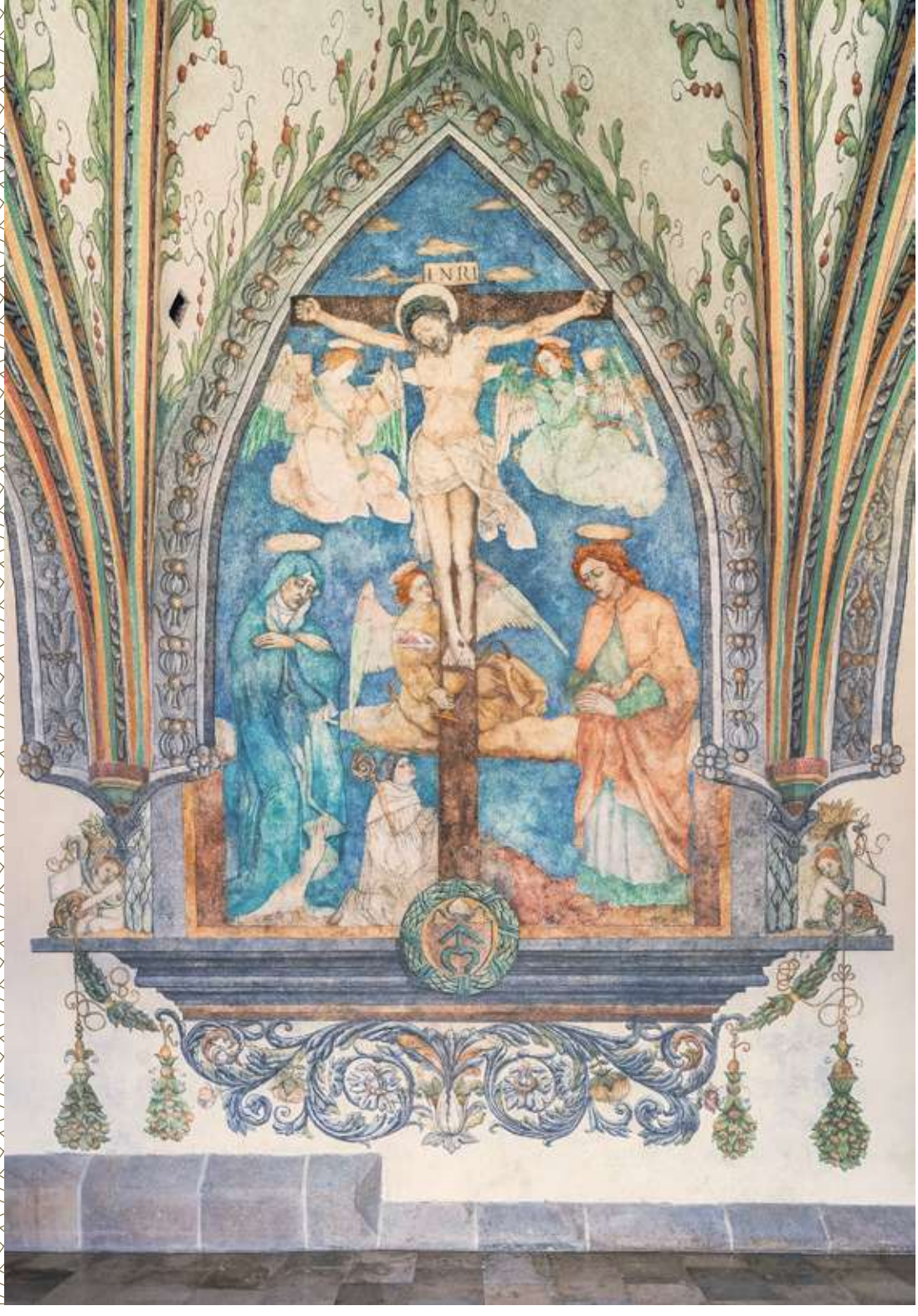
5. Bóg tak chce.
6. Dlatego powiedziane jest w księdze Wojen Pana: „[Od strony] Waheb w Sufa i potoków Arnonu, pochyłość potoków ciągnących się aż do miejsca Ar, przylegająca do granicy Moabu”.



↑ Fragment jednej z kart kodeksu będącego komentarzem do Apokalipsy autorstwa franciszkanina Aleksandra z Bremy; miniatura przedstawia sceny z życia cystersów, ok. 1249–1250

↓ Fragment sklepienia cysterskiej biblioteki z 1638 roku zdobionego ornamentami kwiatowymi autorstwa Stanisława Samostrzelnika





Polichromia ze sceną Ukrzyżowania na krużgankach opactwa cysterskiego w Mogile

Praca Samostrzelnika nad freskami była niemal skończona: nowe, wspaniałe sklepienie pokrył zaledwie trzema barwami, ale jego roślinna polichromia zadziwiła współbraci mistrzowską harmonią między kompozycją kolorystyczną a geometryczną. Dzieło brata Stanisława oddawało jego uczucia nie tylko do klasztoru, ksiąg, biblioteki i przyrody, ale także do króla i dawnych mecenasów: bracia spostrzegli nad sobą, wśród roślinnych wici, herby Zygmunta Starego, rodziny Szydłowieckich i królowej Bony Sforzy. Naprzeciwko wejścia do biblioteki Samostrzelnik wykańczał jeszcze napis: „Ad honorem ed gloriam Omnipotentis Dei Fratribus suis ad utilitatem fr. Erasmus abbas fecit”[7]. Wszystko to razem sprawiało, że zakonnicy długo stali z uniesionymi głowami i rozdziawionymi w podziwie ustami, kontemplując dzieło brata Stanisława. Surowa i zimna do niedawna biblioteka stała się dzięki niemu przytulnym i pięknym miejscem sprzyjającym zadumie i skupieniu. Niedługo później na ich prośbę podobnie ozdobił krużganki.

Uwagę jednego z mnichów, brata Marcina, który wiele czasu spędzał w bibliotece na studiowaniu Księgi Daniela, zwróciła głowa namalowana na sklepieniu, osadzona na masywnej łodydze niczym na szyi uwieńczonej grubymi liśćmi. Niesympatyczna, nieco dziecinna i jajowata twarz z dużym nosem zdawała się wyrażać nieskończone zgorzknienie. Łysą głowę zdobiły liżące ją dwa jęzory kwiatów, przypominające ośle uszy. Może brakowało jej dokładnych cech anatomicznych, ale bez cienia wątpliwości cysters rozpoznał w tej niesympatycznej postaci zbiegłego brata Mikołaja. Cicho zaśmiał się, przeżegnał, i bez słowa powrócił do swoich zajęć. Za oknem świtało, ziemia nadal kręciła się w prawo, głośno zapiał kogut.

7. Ku czci i chwale Wszechmocnego Boga, a na użytek braciom swoim sporządził brat Erazm opat.


TĘCZA

DOM POD GLOBUSEM
W KRAKOWIE

Cesarzowi co cesarskie

Dominika Słowik

„Co do Izby Handlowej, to jeszcze tak na bardzo pewno nie wiadomo, bo Izba wciąż mnie prześladuje Cesarzem, a ja staram się znaleźć coś takiego, żeby ich postawić w kolizji wyboru".

Stanisław Wyspiański[1]

Jestem prozaiczką, powinnam napisać opowiadanie. Tak myślę, kiedy wspinam się po schodach ku wieży zegarowej domu Pod Globusem. Jesteśmy we cztery: ja, Pola oraz Joanna i Małgosia z MIK-u, niektóre z nas boją się wysokości, niektóre boją się ciemności.

Joanna mówi, że Salę Mehofferowską, miejsce obrad Izby Handlowo-Przemysłowej, miał pierwotnie zaprojektować Wyspiański, ale zrezygnował, kiedy poproszono go o umieszczenie w projekcie popiersia cesarza. „Chociaż już wtedy chorował", dodaje. Kiwam głową, to dobra anegdota, sprawdzi się w tekście.

Pod nogami coś chrzęści. Wydaje mi się, że to martwe muchy, które zabłądziły tutaj i potem nie potrafiły znaleźć wyjścia. Pola mówi nagle, że to chyba ofiary pająków. Puste, wyssane pancerzyki zaścielają drewnianą podłogę wokół mechanizmu zegara przypominającego dużą starą szafę. Robi to na mnie wrażenie. Pstrykam kilka zdjęć.

1. Z. Beiersdorf, J. Purchla, *Dom pod Globusem*, Kraków 1997, s. 105.

Joanna[2] wspomina o konflikcie w trakcie budowy domu[3], dotyczącym elektrycznego oświetlenia zegara. Myślę o wszystkich owadach, które musiały nocą zbierać się wokół jasnosinej tarczy. A może to za wysoko dla owadów? Dla much nie było za wysoko. Wyobrażam sobie oszołomione chmary lecące do tarczy zegara, formując srebrzyste drogi mleczne nad oświetlonym gazowymi latarniami Krakowem.

Tylko ja i Joanna wychodzimy wyżej, na sam szczyt kopuły, gdzie znajduje się okno, przez które można wystawić głowę, tak by znalazła się prawie w jądrze globusa. Wąskie drewniane schody przypominają drabinę, po chwili jednak znikają w mroku, czuję się, jakbym stąpała po ciemności. Świecę nam komórką. U góry okno w kopule jest zamknięte, nie mamy klucza. Schodzimy ostrożnie, tyłem, jakbyśmy się przed czymś cofały.

Po wszystkim pijemy razem kawę, musimy ustalić kilka szczegółów dotyczących tekstu. Joanna nagle przystaje, zadziera głowę, spogląda na globus. „Czy wiesz, że pierwotnie przedstawiał coś na kształt sfery niebieskiej?”[4], mówi. Jestem zaskoczona, myślę sobie: to też będzie dobre do tekstu. Nie zewnętrzna skorupa świata, a odlew otulającego nas kosmosu.

✻

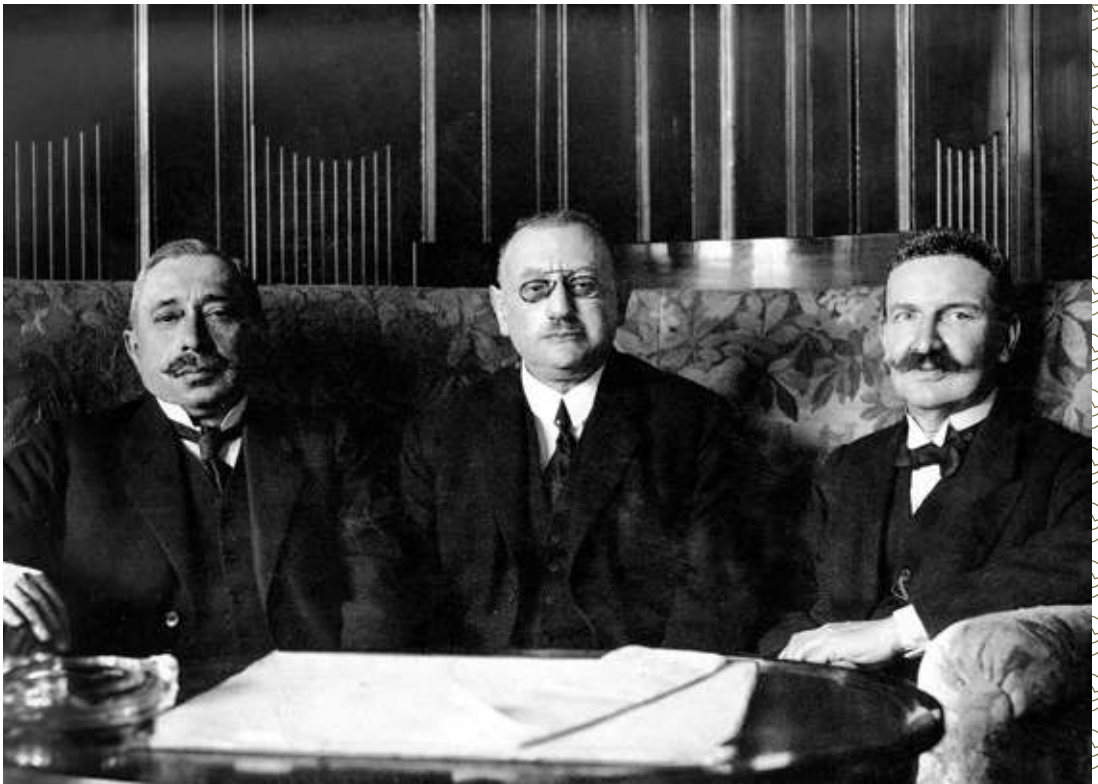
Z biblioteki na Rajskiej zamawiam książkę o historii domu Pod Globusem. Wpadam do Joanny po Kiełbicką, która pisała o historii Izby Przemysłowo-Handlowej. Czytam gruby tom o Wschodnioindyjskiej Kampanii Handlowej. Szukam inspiracji dla opowieści o Izbie, która wybudowała dom Pod Globusem na swoją siedzibę na początku XX wieku, bo wydaje mi się, że to ciekawa perspektywa – pomijana literacko historia gospodarcza i jej zderzenie ze światem krakowskich artystów z przełomu wieków.

2. To chyba mówiła Pola (jeśli nie zaznaczono inaczej, wszystkie przypisy pochodzą od redakcji).
3. Izba godziła się, by zegar miał podświetlone tarcze, ale tylko w wypadku iluminacji na koszt miasta. Sprawa skończyła się pomyślnie, gdy prezydent Krakowa zadeklarował fundusze miejskie – zegar mógł świecić codziennie do godziny 23.30.
4. To, co dziś widać, to pewna rekonstrukcja dokonana dla WL. Pierwotnie ażurowy globus opasały metalowe skrzydła Hermesa, alegoria wszechobecnego Handlu. Były na nim również inne elementy, w tym pierścień równikowy ze znakami Zodiaku i gwiazdami. Obecnie obok gwiazd widnieją plakiety z monogramem WL.



↑ Uczestnicy jednej z wielu konferencji, jakie odbywały się w sali Mehofferowskiej Izby Handlowej i Przemysłowej w Krakowie w latach 30. XX w.

↓ Prezydium Izby Przemysłowej i Handlowej w Krakowie, 1925



Cały czas myślę o tym, co Joanna powiedziała mi na wieży – że chciałaby, by dzięki mojemu opowiadaniu zwiedzający mogli wczuć się w odwiedzane miejsce, żeby stało się ono bliższe, było dla nich miejscem z opowieści.

Podoba mi się to. Też tak myślę o literaturze. Przecież i teraz im więcej czytam, tym bliższa staje mi się historia tego budynku. Rozumiem już, że muszę koniecznie napisać o kilkumiesięcznej przepychance Izby z Wyspiańskim, który w końcu odmówił realizacji zlecenia, i o przejęciu projektu przez Mehoffera.

W pisaniu dobrze jest wiedzieć, kiedy jest czas wymyślania, a kiedy jest czas opowiadania. Tutaj nie ma co wymyślać, przyszłam na gotowe.

Szukam w internecie informacji o chorobie Wyspiańskiego. Kiła. Cierpiał na nią przez większość dorosłego życia.

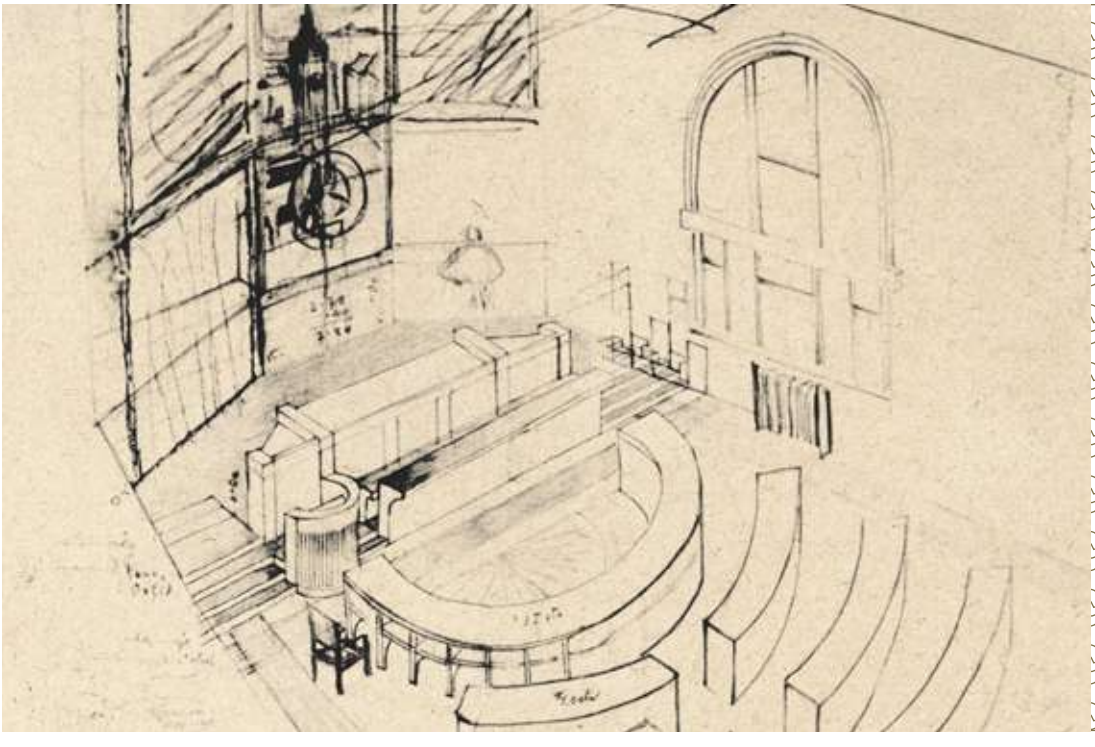
Zamawiam w bibliotece książkę Moniki Śliwińskiej o Wyspiańskim, mimo wieczornej pory niemal natychmiast dostarczają mi ją do książkomatu, godzinę później



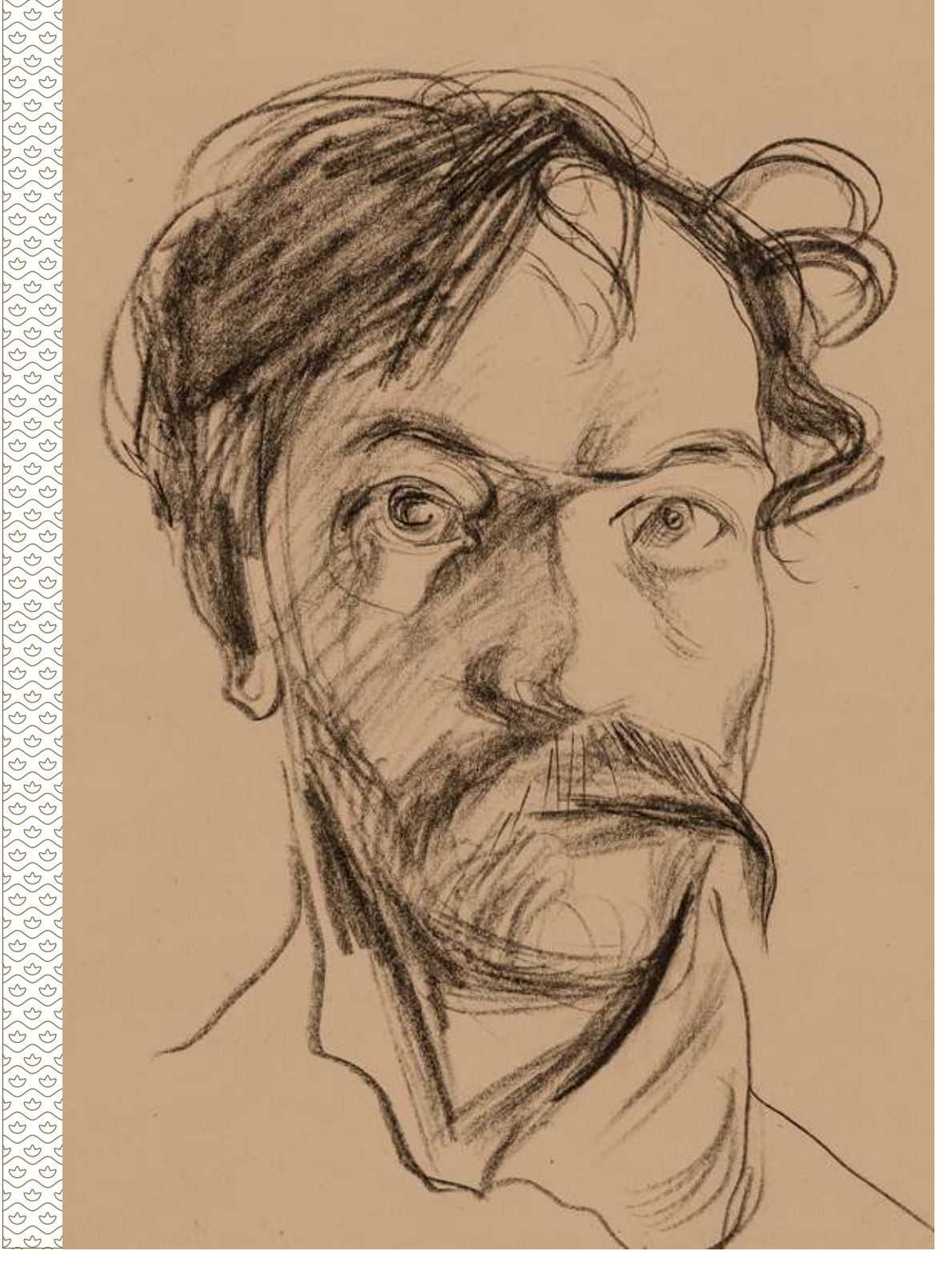
Podwójny portret Józefa Mehoffera narysowany przez Stanisława Wyspiańskiego w paryskiej pracowni, ok. 1891–1892

trzymam ją w dłoniach. Czytam tylko końcówkę. Znajduję fragment o domu Pod Globusem, chcę wiedzieć wszystko o sytuacji przekazania projektu Mehofferowi. Z zaskoczeniem odkrywam, że Wyspiański był wtedy naprawdę bardzo ciężko chory. Częściowy paraliż, rozpad ciała... Sprawdzam w internecie, czym jest kość sitowa. To fragment podniebienia. Oglądam ryciny anatomiczne. Podobno w późnej fazie choroby odłamek kości sitowej wypadł Wyspiańskiemu przy kichaniu. Tak, wiedziałam, że tuż przed rezygnacją z realizacji projektu dla Izby pojechał na miesiąc na kurację do wód do Bad Hall. Ale któż wtedy nie jeździł do wód, Konopnicka niemal w tych sanatoriach mieszkała, przy lekturze historii domu nie zwróciłam więc na to większej uwagi.

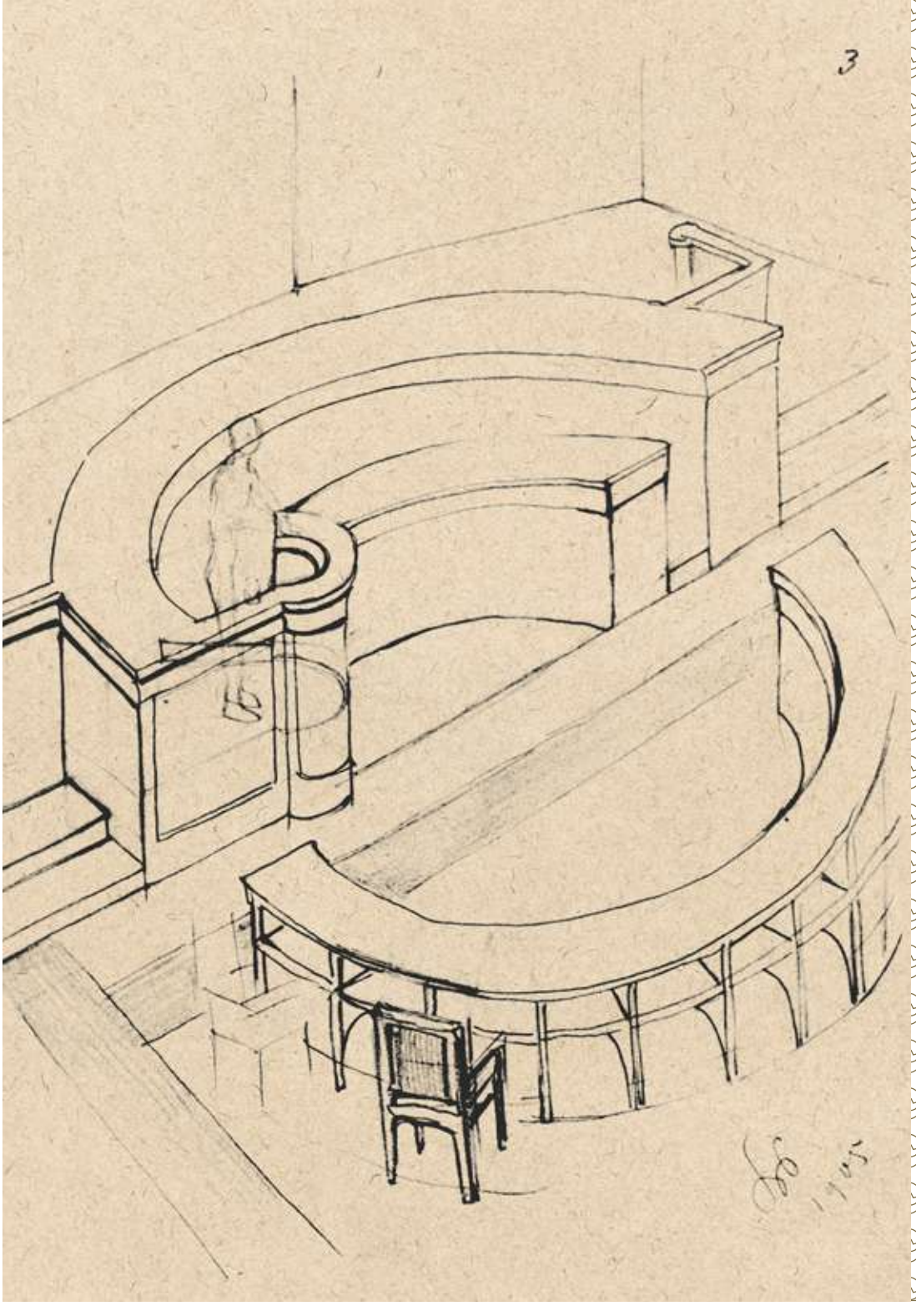
Na początku września 1905 roku Wyspiański rezygnuje z pracy dla Izby. Półtora miesiąca później na kilka tygodni trafia do Domu Zdrowia dla Umysłowo Chorych przy Długiej 82, zaledwie kilkaset metrów od domu Pod Globusem.



Niezrealizowany projekt Stanisława Wyspiańskiego urządzenia sali posiedzeń Izby, 1905



Autoportret Stanisława Wyspiańskiego na miesiąc przed śmiercią, 1907



Projekt Stanisława Wyspiańskiego trybuny prezydialnej w sali posiedzeń Izby, 1905

„Czy kiła wywołuje objawy psychiczne?", wpisuję w Google. Wywołuje. Zastanawiam się, czy to przez nią był taki cięty na Cesarza. Wymyślam kluczowy dialog i zakończenie tekstu. Ktoś mówi, nie, perswaduje (!) Wyspiańskiemu, żeby nie przesadzał, „niech odda cesarzowi co cesarskie". „A Bogu co boskie?", odpowiada Wyspiański. Potem kręci tylko głową, wychodzi. Do tego parę paragrafów z dokładniejszym opisem Sali Mehofferowskiej, później śmierć Wyspiańskiego. Może kondukt żałobny?

Zamiast pisać, czytam książkę Śliwińskiej. Przepadłam. Nie mogę się oderwać.

Zgodnie z projektem Wyspiańskiego jednym z głównych ornamentów miały być „geranie ponsowe". Wpisuję je w wyszukiwarce, nic ciekawego. Potem próbuje „pąsowe geranium". Właściwie jakim kolorem jest pąsowy, zastanawiam się. Czy to żywa rumiana czerwień?

Geranium – pelargonia (to akurat wiedziałam), inaczej anginka. Dawniej liście geranium często wykorzystywano do przygotowywania naparów pomocnych w leczeniu infekcji dróg oddechowych. Liści geranium można także użyć do inhalacji. Wysokie stężenie olejku eterycznego o właściwościach antyseptycznych sprawia, że wdychanie jego oparów oczyszcza i udrażnia górne drogi oddechowe, zwłaszcza zatoki. Napary działają też delikatnie uspokajająco. Według niektórych obniżają również ciśnienie krwi.

Czy Wyspiański korzystał z tych naparów? Problemy z gardłem są u niego jednym z głównych objawów kiły, cierpi na nie od lat. Boję się wyszukać, czym dokładnie są kilaki, zmiany na podniebieniu, które mu dokuczały.

Kochał kwiaty, zapełniał bukietami całe mieszkanie, nie wyrzucał ich, kiedy schły, tylko z przyjemnością patrzył na niezwykłe zastygłe kształty.

Nabieram przekonania, że jego niechęć do realizacji projektu wynikała z choroby. Być może to zaburzenia osądu związane z kiłą albo Wyspiański uznał, że nie ma czasu na nieistotne sprawy, i tę najwidoczniej uznał za nieistotną. Nie wierzę w „cesarski" powód zmarnowania tygodni pracy, gdy jest tak niezdrów; w tak szybkie odrzucenie nie tylko możliwości zarobienia potrzebnych w chorobie pieniędzy, ale przede wszystkim pozostawienia po sobie jeszcze jednego dzieła. Myślę, co bym zrobiła, gdybym miała przed sobą taką perspektywę.

Po przeczytaniu kilku ostatnich rozdziałów *Wyspiańskiego* Śliwińskiej nie mogę się powstrzymać – zaczynam czytać książkę od początku. Sporo miejsca zajmuje tam

Mehoffer. Przyjaciele z dzieciństwa, wspólne dwie szkoły, studia, pierwsze zlecone prace (w kościele Mariackim!), dzielone mieszkanie podczas stypendium w Paryżu. Potem – długa niechęć, oziębłość, przede wszystkim ze strony Wyspiańskiego, porywczego, zawziętego, niezdolnego do kompromisu. Z zacięciem i agresją broniącego swojej indywidualności artystycznej, nieustępującego nawet o milimetr, jeśli chodziło o jego wizję sztuki. Rozumiem już, że dziwniejsze by było, gdyby Wyspiański nie pokłócił się z Izbą o popiersie Cesarza, niż to, że się pokłócił.



Studium projektowe fotela do sali posiedzeń, rysunek Józefa Mehoffera, 1907

*

Myślę o tym, co powie Joanna, kiedy przeczyta ten tekst. Nie mogę pisać wyłącznie o Wyspiańskim i jego niezrealizowanych planach. Nie jest to ani zgodne z projektem MIK-u, do którego mnie zaproszono, ani sprawiedliwe w stosunku do Mehoffera. Próbuję znaleźć dokładne, najlepiej dzienne, kalendarium życia Mehoffera. Mam przeczucie, że gdzieś pomiędzy dniami tych dwóch mężczyzn, przyjaciół z dzieciństwa, znajduje się sedno tej historii. Że gdzieś tam musi tkwić sens zaplątania, zbiegu losów i ciągłych rozminięć.

Kiedy znajduję informację, że Mehoffer zmarł w domu, w którym Wyspiański się urodził, przez chwilę nie dowierzam w tak szczęśliwy dla mnie literacki zbieg okoliczności. W jakimś wywiadzie dla Polskiego Radia wypowiada się tak historyk



Tarcza zegara na domu Pod Globusem od wewnątrz

sztuki. Szybko kopiuję cytat do pliku z tekstem. Nie nazywam go już opowiadaniem, sama nie wiem, jak go nazwać. Na biurko wyciągnęłam sobie Sebalda, żeby uprawomocnić ten pęd przez gatunki. Ale coś mi się jednak nie zgadza. Wiem, że Mehoffer swoje ostatnie dni spędził w Wadowicach. Sprawdzam – tam też zmarł. Wyspiański umarł w Domu Zdrowia doktora Gwiazdomorskiego na rogu Siemiradzkiego i Łobzowskiej.

Zanoszę do fotografa przy Wielopole kliszę do wywołania. Widoczek z okna przedostatniego piętra domu Pod Globusem wyszedł pięknie. Przypomina mi się fragment z raptularza Wyspiańskiego, który zapisał po pierwszej wizycie w nowej siedzibie Izby: „Nic mi się nie podoba, prócz widoku z okien".

Jestem zaskoczona, że udało się też zdjęcie zegara. Nie spodziewałam się, że mój mały aparacik da radę w tych półcieniach. Zegar od tyłu wygląda jak wywrócony na lewo. Kusi, żeby opowiadać metafory o czasie biegnącym w opowieściach wbrew zegarom.

Może powinnam napisać to wszystko w trzeciej osobie? Dominika poszła, Dominika zobaczyła. Dominika usiłuje się dowiedzieć, co robił Mehoffer w czasie, kiedy Wyspiański umierał. Był chyba w Krakowie, bo odwiedził go w Węgrzcach, by się pożegnać.

Przed północą wysyłam maila do Joanny. Pytam, czy gdzieś znajdę w miarę dokładne kalendarium życia Mehoffera. Chodzi mi przede wszystkim o okres realizacji domu Pod Globusem i czas do pogrzebu Wyspiańskiego.

Jednocześnie sprawdzam biografię Franciszka Józefa. Wiem doskonale, że przeżył Wyspiańskiego o ponad dziesięć lat. Jego popiersie z kolei przetrwało swój pierwowzór o dwa lata: w 1918 roku usunięto je z Sali Mehofferowskiej. Czuję, że jestem o krok od powiązania tych wszystkich z pozoru oderwanych od siebie punktów.

Mehoffer też wcale znowu nie był taki „poukładany", zgodny. I on potrafił walczyć o swoją sztukę, zapewne skuteczniej niż Wyspiański, bo z umiejętnością osiągania nieszkodliwych kompromisów. Obraz *Poskromienie żywiołów* – centralny punkt Sali – niektórym członkom Izby się nie podoba. Zawiśnie dopiero po długich dyskusjach, w 1907 roku, najpóźniej 1 października. Sala będzie wreszcie ukończona.

Wyspiański umiera 28 listopada.



Widok na ulicę Sławkowską z ostatniego piętra domu Pod Globusem

*

Myślę o tym, że opowiadanie (tak, znów się łudzę) należałoby napisać z punktu widzenia mecenasa Benisa z Komitetu Budowy, przedstawiciela krakowskiej Izby Handlowej, który kontaktował się z Wyspiańskim. A może wymyślonego, fikcyjnego stróża? Obecni portierzy w domu Pod Globusem to ważni w moim życiu ludzie, chociaż nie mają o tym pojęcia – świadomość, że teoretycznie o każdej porze dnia i nocy mogę tam przyjść, odebrać czekające na recepcji książki czy pisma, daje mi niezrozumiałe poczucie bezpieczeństwa. Mieszka tam też kotka, miło byłoby oddać jej trochę miejsca[5]. Na przykład tak:

1. Wyspiański pyta o umówione spotkanie, stróż nie rozumie, czego chce ten chudy człowiek o rozgorączkowanych oczach. Głos ma dziwny, nosowy, wyrazy są zniekształcone, wypowiadane bardzo cicho. Na szyi jasna chusteczka. Jest niecierpliwy, macha rękami tak, że kot, który trochę tu pomieszkuje, chowa się pod krzesłem. W końcu stróż daje za wygraną, prowadzi Wyspiańskiego na górę. Ich stopy zostawiają ślady w pyle na schodach, wciąż nieuprzątniętych. Wygląda to jakby szli po śniegu.

Dziwak, myśli stróż, naprawdę prze przed siebie jak przez zaspy.

2. Benis czuje ulgę, że Wyspiański sam zrezygnował. Nie wiadomo, czy artysta w ogóle dałby radę dokończyć pracę, czy wcześniej… wiadomo. Benis naprawdę był za nim, mogłoby tu powstać coś pięknego, ale ten głupi upór Wyspiańskiego! Męka, orka na ugorze.

Stryjeński[6], który polecił Wyspiańskiego, nie wydawał się zaskoczony, kiedy mu o wszystkim opowiedział. Jak zwykle, zdawało się mówić jego spojrzenie. „Proszę się odezwać do Mehoffera". Teraz Benis idzie Plantami, mija… tutaj muszę wpisać jakiś obrazek z ówczesnego Krakowa. Typową dziecięcą zabawę? Stroje kobiet? Uliczne jedzenie?

5. Podobno bura kociczka jest już bardzo stara, nazywają ją Kotą, a dogadanie się z nią jest jednym z warunków zatrudnienia na portierni. Najbardziej kocha portiera Adama i kiedy on jest w pracy, wychodzi na spacery po WL, najczęściej nocą (przypis D.S.).

6. Architekci Tadeusz Stryjeński, członek Izby Handlowej, oraz Franciszek Mączyński byli autorami projektu domu Pod Globusem.

Finał: Stróż, już po wojnie, wchodzi do Sali. Dostał oficjalne polecenie. Zdejmuje popiersie. Cesarzowi co cesarskie, myśli zawijając kajzera w papier. Cesarz patrzy dobrotliwie, znikając w torbie stróża[7]. Stróż lubił tego staruszka. Dobrze było mieć w życiu coś pewnego. Bura kotka ociera mu się o nogi.

*

Wciąż coś mi umyka.

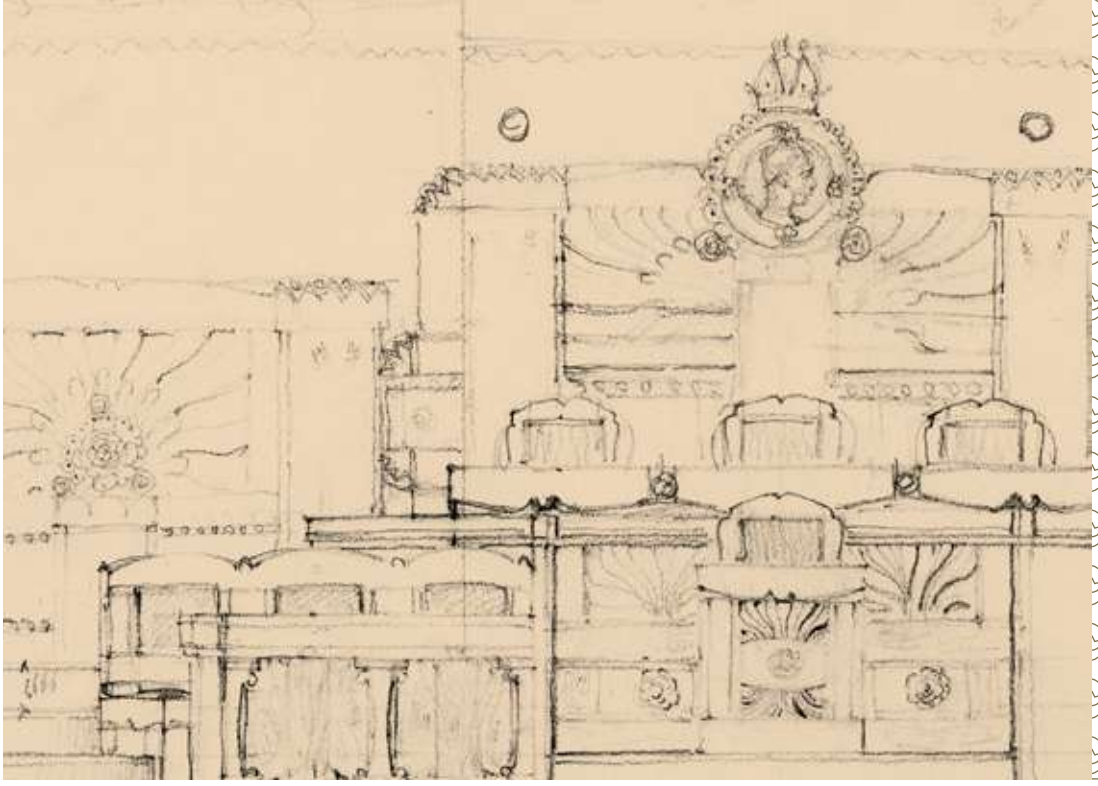
Koniecznie muszę w tekście umieścić cytat o ornamencie-Franciszku: Wyspiański podobno oznajmił, że „nie uznaje Franciszka Józefa jako moment dekoracyjny". Rozumiem też chyba wreszcie, dlaczego Wyspiański zrezygnował z realizacji projektu dla Izby – wiedział, że nie będzie miał siły ukończyć tego projektu. Umierał.

Wypożyczam *Dziennik* Mehoffera. Bardzo liczę, że znajdę tu zakończenie. Niestety, urywa się na latach dziewięćdziesiątych XIX wieku. Wrzucam na Instagrama posta o Mehofferze. Odzywa się do mnie Monika Śliwińska. Gratuluję jej wspaniałych książek. Jest tak miła, że pyta, czy potrzebuję czegoś konkretnie. Odpisuję, że szukam przede wszystkim informacji związanych z tym, jak przejęcie projektu dla Izby wyglądało z perspektywy Mehoffera. Ciekawi mnie też, czy pozostawił po sobie jakieś zapiski związane ze śmiercią i pogrzebem Wyspiańskiego.

Czuję się rozgrzeszona, Monika potwierdza, że nie ma niczego poza tym, na co już trafiłam. Mogłabym teraz naprawdę coś wymyślić. Opowiedzieć, jak Mehoffer projektował piękne główki kapusty przypominające bajkowe kwiaty, snując myśli o swoim dawnym przyjacielu. Ale nie zrobię tego, bo ta historia została już napisana.

Mehoffer i Wyspiański urodzili się oczywiście w tym samym roku, Mehoffer w lipcu, Wyspiański w styczniu. Krętki blade wywołujące kiłę odkryto w 1905. Na zdjęciach ze współczesnych mikroskopów wyglądają jak spiralne ornamenty. Jeden z odkrywców krętka, Fritz Richard Schaudinn, zmarł rok później i rok przed Wyspiańskim[8], z powodu zakażenia amebą. Syn Franciszka Józefa, książę Rudolf, najprawdopodobniej chorował na kiłę i popełnił samobójstwo w swoim pałacyku myśliwskim (ale to chyba nie ma znaczenia w tej historii). Franciszek Józef zmarł w 1916 roku.

7. Po pierwszej wojnie światowej miejsce cesarza przez kilka lat pozostawało puste, póki sam Mehoffer, podczas odnawiania budynku, nie zaprojektował orła, którego można oglądać do dzisiaj (przypis D.S.).
8. W roku oddania gotowego domu Pod Globusem.



↑ Projekt wnętrza sali posiedzeń autorstwa Józefa Mehoffera, 1907

↓ Wuelka, bura kotka w Wydawnictwie Literackim





Plafon sali posiedzeń zrealizowany według projektu Józefa Mehoffera

Dziennik Mehoffera, projektanta serca domu Pod Globusem, opublikowało w 1975 Wydawnictwo Literackie, które obrało budynek na swoją siedzibę rok wcześniej.

Biografie (także budynków) to historie ujęte w karby wyobrażeń.

Wysyłam Joannie wiadomość.

Joanno,
w załączeniu przesyłam plik z moim tekstem o domu Pod Globusem. Przybrał on formę zaskakującą nawet dla mnie samej. Zależało mi jednak, żeby przywołanie artystów, którzy całe życie poświęcili na działanie wbrew konwencji, nie było skrępowane konwencją.
Dziękuję za zaproszenie do tego projektu, przeżyłam przygodę, której zupełnie się nie spodziewałam.

Serdecznie,
D.

PODZIĘKOWANIA

Ta jubileuszowa książka to summa pracy wielu, wielu osób, ale przede wszystkim wspaniałych siedmiorga pisarek i pisarzy. W ich imieniu zespół Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego, który wspólnie z nimi podróżował po bliższych i dalszych miejscach w Małopolsce, pragnie podziękować wszystkim tym, którzy zgodzili się zostać w tym roku gospodarzami Dni Dziedzictwa i opowiedzieli nam o swoich zabytkach, pomogli zebrać materiały, udzielali merytorycznych wskazówek.

Zatem zgodnie z kolejnością odbytych podróży nasze wspólne podziękowania wraz ze znaną Państwu z poprzednich dwóch książek Barbarą Sadurską, kierujemy do Moniki, Jacka, Barbary i Aleksandra Lorenzów – za wiele spotkań i opowieści o niezwykłym miejscu, które uratowali od zagłady, o pałacu w Michałowicach.

Z Katarzyną Kobylarczyk, która jest autorką aż pięciu książek towarzyszących Dniom Dziedzictwa, pojechaliśmy tym razem do Łysej Góry. Tu przyjęli nas gościnni łysogórzanie: państwo Elżbieta i Piotr Sachowie (pani Elżbieta to córka Bolesława Książka), pan Jerzy Sacha (obok Bolesława Książka kolejny z artystów tworzących ceramikę w Łysej Górze) z synem Krzysztofem oraz pani Ewa Niemiec, która oprowadziła nas po wystawie „Skarby Łysej Góry". Rozmowom nie było końca, bo też łysogórska ceramika swoimi ornamentami szalenie działa na wyobraźnię. Podziękowania za opowieść o Franciszku Mleczce zechce przyjąć pani Wiktoria Musiał, córka założyciela Spółdzielni „Kamionka" w Łysej Górze.

Na początku grudnia 2022 roku trafiliśmy ze znanym Państwu z XX edycji MDDK Jakubem Kornhauserem do Muzeum Twórczości Władysława Wołkowskiego w Olkuszu, po którym oprowadziła nas i merytorycznych wskazówek udzieliła pani Grażyna Praszelik-Kocjan, wieloletnia, a dziś już emerytowana dyrektorka placówki. Pan Witold Olejarczyk, przyjaciel Władysława Wołkowskiego, udostępnił nam fotografie ze zbiorów artysty, które wzbogaciły nasze wydawnictwo, a pani Ewa Wołoszyn, obecna opiekunka kolekcji Wołkowskiego, wspomagała nas w poszukiwaniach materiału ilustracyjnego.

Zimową porą, po wyślizganych chodnikach, wybraliśmy się z Bartoszem Sadulskim, na co dzień nowohucianinem, do pobliskiej Mogiły, gdzie w towarzystwie ojca

Mateusza Kawy i pani Małgorzaty Czuby z Muzeum Duchowości i Kultury Cystersów, odbyliśmy interesujący spacer, który zaowocował tekstem o twórczości Stanisława Samostrzelnika, mogilskiego artysty i mnicha.

Z początkiem roku zjawiliśmy się wspólnie z Radkiem Rakiem w lusławickim Centrum Muzyki Krzysztofa Pendereckiego, gdzie przemile spędziliśmy czas na kawie i rozmowie z panem dyrektorem Adamem Balasem i kuratorką zbiorów panią Jadwigą Kanią. Spotkanie to zaowocowało tekstem o braciach polskich.

Kilka dni później wraz z Dominiką Słowik trafiliśmy, a raczej trafiłyśmy, na wieżę słynnego domu Pod Globusem, do zachwycającej Sali Mehofferowskiej i do wielu innych zakamarków Wydawnictwa Literackiego. Za przemiłe przyjęcie dziękujemy paniom Beacie Krupie, Poli Starczyńskiej oraz panu Marcinowi Baniakowi. Dziękujemy też za udostępnienie ciekawych materiałów ilustracyjnych.

Na sam koniec na wycieczkę z Brzeska do podkrakowskiej Modlnicy wybrała się z nami Sabina Jakubowska, niestrudzona tropicielka lokalnych historii. Dzieje modlnickiej parafii przybliżyli pani Joanna Miszkurka i ks. proboszcz Jan Adamus. Modlnicki dwór zaś zwiedziłyśmy w towarzystwie pań – Wioletty Kolbusz-Lasy oraz Pauliny Pawłuckiej z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ten pełen wrażeń dzień zakończyła wizyta w Izbie Regionalnej w Modlnicy u pani Bogumiły Pietrzyk, sołtyski i regionalistki, która z pasją opowiedziała historię wsi.

Podziękowania należą się także archiwom – myślę tu szczególnie o Archiwum Narodowym w Krakowie, bibliotekom – przede wszystkim Bibliotece Głównej ASP w Krakowie, oraz muzeom, które wspomogły nas w dotarciu do poszukiwanych zdjęć, projektów (Muzeum im. Oskara Kolberga w Przysusze, Muzeum Etnograficzne w Krakowie, czy Muzeum Narodowe w Krakowie), które z pewnością podnoszą wartość trzymanej przez Państwa w rękach książki. Książki wydanej w roku jubileuszowym Dni Dziedzictwa!

w imieniu zespołu Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego
Joanna Nowostawska-Gyalókay

BIBLIOGRAFIA

DWÓR W MICHAŁOWICACH

Bałus W., *Pałace, dwory i wille Teodora Talowskiego*, „Teka Komisji Urbanistyki i Architektury" 1987, t. 21, s. 223–229.

Bałus W., *Architektura sakralna Teodora Talowskiego*, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Jagiellońskiego. Prace z Historii Sztuki" 1992, t. 20, s. 53–79.

Beiersdorf Z., *Talowski Teodor*, [w:] *Polski słownik biograficzny konserwatorów zabytków*, z. 2, red. H. Kondziela, H. Krzyżanowska, Poznań 2006.

Bystrzak T., *Teodor Marian Talowski*, Kraków 2017.

Kobylarczyk K., *Momenty*, [w:] taż, *Wielki wybuch*, Kraków 2014, s. 100–113.

Łoś W., *Teodor Talowski*, „Tygodnik Ilustrowany" 1892, t. 6, nr 142, s. 185–187.

Sołtysik A., *Język form Teodora Talowskiego a współczesna kompozycja*, Kraków–Wrocław 2012, bit.ly/3zYQSTW (dostęp: kwiecień 2023).

Talowski T., *Projekta kościołów*, Kraków 1897, bit.ly/43w1dUM (dostęp: kwiecień 2023).

ARBORETUM I DWÓR W LUSŁAWICACH

Dobrzyńska-Rybicka L., *Zygmunt Taszycki. Ustęp z dziejów ariaństwa w Polsce*, „Przegląd Polski" 1905, t. 155, nr 464–465.

Opus lusławickie. Rzecz o arboretum Krzysztofa Pendereckiego, wstęp Z. Baran, Warszawa 2000.

Smoleński M., *Melsztyn. O zamku i jego panach, o kościele i plebanach*, Kraków 1888, bit.ly/3zVtIho (dostęp: kwiecień 2023).

Tazbir J., *Arianie i katolicy*, Warszawa 1971.

Tazbir J., *Bracia Polscy na wygnaniu. Studia z dziejów emigracji ariańskiej*, Warszawa 1977.

Tazbir J., *Reformacja w Polsce. Szkice o ludziach i doktrynie*, Warszawa 1993.

Tazbir J., *Zapomniany dramat o arianach*, „Pamiętnik Literacki" 2015, z. 1, s. 237–241, bit.ly/3KYVhfP (dostęp: kwiecień 2023).

CERAMIKA W ŁYSEJ GÓRZE

Kostuch B., *Czarodziej z Łysej Góry. Opowieść o Bolesławie Książku*, Kraków 2020.
Kostuch B., *Kolor i blask. Ceramika architektoniczna oraz mozaiki w Krakowie i Małopolsce po 1945 roku*, Kraków 2015.
Kopytko N., *Łysa Góra. Ludzie i ceramika*, Kraków 2016.
Mleczko F., *Wieś rodzinna wzywa. Wspomnienia*, Warszawa 1963.
Szumowski M., *Miasta – Łysa Góra*, bit.ly/403vMy1 (dostęp: kwiecień 2023).

MUZEUM TWÓRCZOŚCI WŁADYSŁAWA WOŁKOWSKIEGO W OLKUSZU

Frejlich Cz., *Władysław Wołkowski*, bit.ly/3KZkF4Y (dostęp: kwiecień 2023).
Kowalski J., *Gdańskie kawiarnie i restauracje*, „Architekt" 1955, nr 8, s. 13–14, bit.ly/43rmq2d (dostęp: kwiecień 2023).
Lisowski C., *Nowoczesność wikliny Władysława Wołkowskiego*, bit.ly/40cKNO6 (dostęp: kwiecień 2023).
Wielgut-Walczak J., *Władysław Wołkowski. Kształtowanie z wikliny*, [w:] *Rzeczy niepospolite. Polscy projektanci XX wieku*, red. Cz. Frejlich, Kraków 2013.
Wiklinowe koronki, „Stolica. Warszawski Tygodnik Ilustrowany" R. 11, 1956, nr 31, s. 8–9.
Władysław Wołkowski. Galeria, bit.ly/3MIG3wB (dostęp: kwiecień 2023).
Władysław Wołkowski. Michał Anioł wikliny (rozmowa z Witoldem Olejarczykiem, przyjacielem Wołkowskiego), bit.ly/417mdQd (dostęp: kwiecień 2023).
Wołkowski. Mistrz splotów duszy słowiańskiej, bit.ly/41pgZyS (dostęp: kwiecień 2023).
Wywioł A., *Mieszkanie poetyckie – koncepcja twórczości Władysława Wołkowskiego*, „Annales Universitatis Paedagogicae Cracoviensis. Studia de Cultura" 2015, t. 7, bit.ly/30eQwpD (dostęp: kwiecień 2023).

OPACTWO CYSTERSÓW I KOŚCIÓŁ PW. ŚW. BARTŁOMIEJA W KRAKOWIE

Cistercium Mater Nostra. Tradycja – Historia – Kultura. 500-lecie twórczości Stanisława Samostrzelnika. 1506–2006, red. M. Starzyński, Kraków 2007.

Dembowska M., *Biblioteka ojców Cystersów w Mogile*, bit.ly/3zZ9MKg (dostęp: kwiecień 2023).

Dzieje i kultura cystersów w Polsce, t. 1, red. M. Starzyński, D. Tabor, Kraków 2016.

Dzieje i kultura cystersów w Polsce, t. 2, red. M. Starzyński, D. Tabor, Kraków 2018. bit.ly/3UI4RqI (dostęp: kwiecień 2023).

Miodońska B., *Małopolskie malarstwo książkowe 1320–1540*, Warszawa 1993.

Miodońska B., *Miniatury Stanisława Samostrzelnika*, Warszawa 1983.

Najstarsza monografia klasztoru. Monografia Opactwa Cystersów we wsi Mogile, Kraków 1867, bit.ly/3KZ9Yzf (dostęp: kwiecień 2023).

Węcławowicz T., *Opactwo cystersów w Mogile: w rocznicę fundacji 1222–2022*, Kraków 2022.

KOŚCIÓŁ PW. ŚW. WOJCIECHA I MATKI BOSKIEJ BOLESNEJ ORAZ DWÓR W MODLNICY

Bernasikowa M., *Dwór w Modlnicy*, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Jagiellońskiego" 1965, t. 86, bit.ly/3A1Cj1P (dostęp: kwiecień 2023).

Kolberg O., *Dzieła wszystkie*, Poznań 2005, bit.ly/30bm4fR (dostęp: kwiecień 2023).

Kolberg O., *Dzieła wszystkie*, t. 5: *Krakowskie*, Wrocław–Poznań 1967.

Konopka M., *Konopkowie herbu Nowina. Z dziejów rodziny*, „Strzyżowski Rocznik Muzealny" 2017, t. 3, s. 205–213.

Markiewicz K., *Wspomnienia Konopczanek z Modlnicy o Oskarze Kolbergu*, „Wieś Radomska" 2018, t. 11, s. 89–120.

Nowakowski M., *Józef Lachner – kontynuator dzieła Oskara Kolberga*, „Roczniki Ludowego Towarzystwa Naukowo-Kulturalnego" 2016, nr 14–15, s. 147–150.

Nowina Konopka S., Monita R., *Modlnica. Kościół św. Wojciecha i Matki Boskiej Bolesnej*, Kraków 2021.

Rochowski P., *Po tej i po tamtej stronie. Dawną granicą zaborów przez Park Krajobrazowy Dolinki Krakowskie*, Kraków 2020.

Szelerewicz M., „Kościół św. Wojciecha i Matki Boskiej Bolesnej w Modlnicy pod Krakowem", praca magisterska z historii średniowiecznej sztuki sakralnej, Papieska Akademia Teologiczna w Krakowie Wydział Historii Kościoła, Kraków 2002.

Tomkowicz S., *Powiat krakowski*, „Teka Grona Konserwatorów Galicji Zachodniej" 1906, t. 2, s. 125–133, bit.ly/4195hIT (dostęp: kwiecień 2023).

„Twórczość Ludowa" R. 29, 2014, nr 1–2.

DOM POD GLOBUSEM W KRAKOWIE

Beiersdorf Z., *Ponsowe geranje a portret cesarza. Niezrealizowane projekty Wyspiańskiego dla Izby Handlowej i Przemysłowej w Krakowie*, [w:] *Podług nieba i zwyczaju polskiego. Studia z historii architektury, sztuki i kultury ofiarowane Adamowi Miłobędzkiemu*, Warszawa 1988, s. 474–481.

Beiersdorf Z., Purchla J., *Dom pod Globusem. Dawna siedziba krakowskiej Izby Handlowej i Przemysłowej*, Kraków 1997.

Gmach Izby Handlowo-Przemysłowej, „Przegląd Techniczny" 1914, nr 31, s. 417 oraz tablice XLII i XLIII, bit.ly/3UCZwAT (dostęp: kwiecień 2023).

Kiełbicka A., *Izba Przemysłowo-Handlowa w Krakowie 1850–1950*, Kraków 2003.

Mehoffer J., *Dziennik*, oprac. J. Puciata-Pawłowska, Kraków 1975.

„Sztuka Stosowana", Kraków 1907, z. 10, s. 39–40, bit.ly/3KDE89U (dostęp: kwiecień 2023).

Śliwińska M., *Wyspiański. Dopóki starczy życia*, Warszawa 2017.

SPIS ILUSTRACJI

Rozwinięcia skrótów nazw instytucji, których zdjęcia ilustrują książkę:

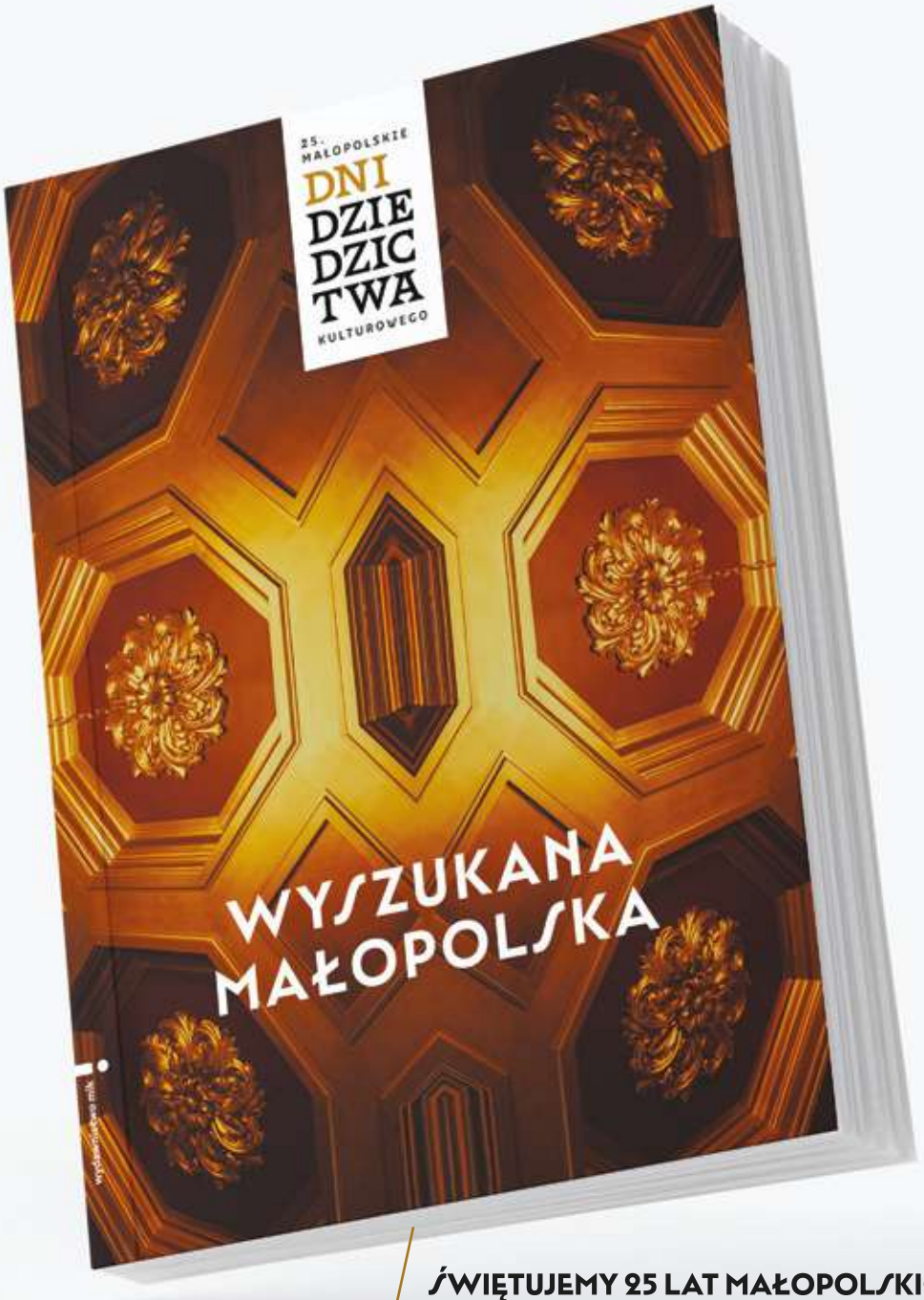
ANK Archiwum Narodowe w Krakowie
APL Archiwum Państwowe w Lublinie
MIK Małopolski Instytut Kultury w Krakowie
MEK Muzeum Etnograficzne w Krakowie
MNK Muzeum Narodowe w Krakowie
MTWO Muzeum Twórczości Władysława Wołkowskiego
MUJ Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego
NAC Narodowe Archiwum Cyfrowe
Polona zbiory Biblioteki Narodowej
PAUart Katalog zbiorów artystyczno-naukowych Polskiej Akademii Umiejętności
WL Wydawnictwo Literackie
WMM Wirtualne Muzea Małopolski

S. 10: dwór w Michałowicach, międzywojnie, autor fot. nieznany. Ze zbiorów rodziny Lorenzów; S. 13: fot. I. Krieger. MK, sygn. Fs17794-IX; S. 14: ze zbiorów rodziny Lorenzów; S. 15: ze zbiorów rodziny Lorenzów; S. 17: ze zbiorów rodziny Lorenzów; S. 17: skan ze zbiorów rodziny Lorenzów; S. 18: autor fot. nieznany. PAUart, nr inw.: THL.BPP.Phot.3000; S. 20: ze zbiorów T. Bystrzaka; S. 21: *Projekta kościołów Teodora Talowskiego*, Kraków 1897, przechowywane w zbiorach Muzeum – Zamek w Łańcucie. Podkarpacka Biblioteka Cyfrowa, domena publiczna; S. 22: fot. I. Krieger. APL, zespół akt nr 80 – Archiwum Łosiów, sygn. 851; S. 24: góra – część większej fotografii, fot. I. Krieger, domena publiczna. APL, zespół akt nr 80 – Archiwum Łosiów, sygn. 851, domena publiczna; dół – część większej fotografii, fot. I. Krieger. APL, zespół akt nr 80 – Archiwum Łosiów, sygn. 851, domena publiczna; S. 26: lusławicki labirynt z grabów, fot. M. Kluza. Europejskie Centrum Muzyki Krzysztofa Pendereckiego;

S. 29: z archiwum DA Agra-Art., domena publiczna; S. 31: *Album z widokami perspektywicznymi ogrodów*, anonimowy, według H. Vredemana de Vriesa, ok. 1587 i/lub ok. 1601. Akwaforta na papierze. Rijksmuseum, domena publiczna; S. 34: z dzieła L. Taxila, *Les Mystères de la Franc-Maçonnerie*, rys. P. Méjanel, Paryż, 1886. Wikimedia Commons, domena publiczna; S. 37: fot. A. Wisłocki, 1914. Polona, domena publiczna; S. 38: „Światowid. Ilustrowany Kuryer Codzienny" 1925, nr 26, s. 4; S. 40: Cambridge, Fitzwilliam Museum. Wikimedia Commons, CC BY SA 4.0; S. 42: Rijksmuseum, domena publiczna; S. 43: Birmingham Museum and Art Gallery. Wikimedia Commons, domena publiczna; S. 46: *Okolice Galicyi Macieja Bogusza Stęczyńskiego*, Lwów 1847. MNK, nr. inw. MNK III-ryc.-28406/28, domena publiczna; S. 48: płytki stanowiące lamperię na ścianach szkoły zawodowej w Łysej Górze, pierwotnie wykonane dla warszawskiego MDM, fot. M. Sacha. Ze zbiorów M. Sachy; S. 51: autor fot. nieznany, F. Mleczko, *Wieś rodzinna wzywa*, Warszawa 1963, s. 113; S. 53: góra i dół – autor fot. nieznany. Ze zbiorów rodziny Książków; S. 54: fot. M. Sacha. Ze zbiorów M. Sachy; S. 57: fot. J. Ochoński, lata 60. XX w. Ze zbiorów rodziny Książków; S. 60: fot. J. Tarań. Ze zbiorów Ośrodka KARTA, kolekcja J. Tarania, udostępniła D. Kszczot-Tarań, sygn. TARAN_0147_06; S. 63: góra i dół – fot. K. Schubert, 2022. MIK, CC BY SA 4.0; S. 64: góra i dół – fot. K. Schubert, 2022. MIK, CC BY SA 4.0; S. 65: fot. K. Schubert, 2022. MIK, CC BY SA 4.0; S. 67: fot. J. Tarań, 1968. Ze zbiorów Ośrodka KARTA, kolekcja J. Tarania, udostępniła D. Kszczot-Tarań, sygn. TARAN_0146_09; S. 68: fot. J. Ochoński. Ze zbiorów rodziny Książków; S. 70: Boże Ciało w Modlnicy, autor fot. nieznany, 1932. NAC, sygn. 1-R-332-19, domena publiczna; S. 72: ANK, sygn. 29/632/31 s. 381; S. 74: góra – autor fot. nieznany. NAC, sygn. 1-R-332-21, domena publiczna; dół – fot. A. Kozakiewicz. MEK, nr. inwent. V-3201, domena publiczna; S. 77: góra – 46681 MEK, dół – 8633 MEK, domena publiczna; S. 78: ANK, sygn. 29/632/31; S. 79: ANK, sygn. 29/632/31 s. 371; S. 81: O. Kolberg, *Lud: jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce*, seria 7: *Krakowskie*, cz. 3, Kraków 1874, s. 8. Polona, domena publiczna; S. 82: „Kłosy. Czasopismo ilustrowane, tygodniowe" 1880, t. 31, nr 793 (11 września), s. 4. Polona, domena publiczna; S. 84: autor fot. nieznany. NAC, sygn. 1-U-4106-4, domena publiczna; S. 86: ANK, sygn. 29/632/31 s. 77 awers; S. 87: „Tygodnik Illustrowany" 1881, seria 3, t. 11, nr 273, s. 177. Cyfrowe Mazowsze, domena publiczna; S. 88: fot. z cyklu: *Typy ludowe*. MK,

sygn. MHK-4740/K, domena publiczna; S. 90: Władysław Wołkowski podczas pracy przy kompozycji poświęconej powstaniu warszawskiemu (cykl *Ołtarze historii*) w dworku Machnickich w Olkuszu. Z archiwum MTWO; S. 93: ze zbiorów W. Olejarczyka; S. 94: katalog II Ogólnopolskiej Wystawie Architektury Wnętrz, Warszawa 1957; S. 95: @NeonyPoznania, fot. S. Arczyński; S. 97: W tle fragment kompozycji poświęconej odsieczy wiedeńskiej z cyklu ołtarze historii; S. 98: WMM, MIK, CC BY SA 4.0; S. 99: góra i dół – WMM, MIK, CC BY SA 4.0; S. 101: skan z archiwum MTWO; S. 102: WMM MIK, CC BY SA 4.0; S. 103: WMM, MIK, CC BY SA 4.0; S. 104: skan z archiwum MTWO; S. 106: Zakonnik w bibliotece klasztornej, 1937, NAC, sygn. 1-R-594-5, domena publiczna; S. 109: NAC, sygn. 1-R-594-3, domena publiczna; S. 110: góra – MK, sygn. MHK-540/VIII, domena publiczna; dół – NAC, sygn. 1-U-4122-1, domena publiczna; S. 113: Kraków 1531–1535, właściciel – Biblioteka Ordynacji Zamojskiej. Polona, sygn. Rps BOZ 5, domena publiczna; S. 114–115: akwarela na pergaminie. Platforma Cyfrowa Biblioteki Kórnickiej, sygn. MK 3645 oraz sygn. MK 3649, domena publiczna; S. 117: góra – Niemcy (Kolonia lub Dolna Saksonia). Cambridge Digital Library, sygn. Expositio in Apocalypsim (MS Mm.5.31), 113 r, CC BY-NC 3.0; dół – fot. K. Schubert, 2021. MIK, CC BY SA 4.0; S. 118: fot. M. Czuba, Muzeum Duchowości i Kultury Cystersów w Mogile, 2023. Wikimedia Commons, CC BY SA 4.0; S. 120: gmach Izby Przemysłowej i Handlowej w Krakowie, autor fot. nieznany, 1932. NAC, sygn. 1-G-851, domena publiczna; S. 123: góra – Międzyministerialna komisja współpracy z samorządem gospodarczym na konferencji ankietowej z przedstawicielami sfer gospodarczych i władz administracyjnych w Krakowie, 1935. NAC, sygn. 1-G-7423, domena publiczna; dół – autor fot. nieznany. NAC, sygn. 1-G-853, domena publiczna; S. 124: MNK III-r.a-2804, domena publiczna; S. 125: Z. Beiersdorf, J. Purchla, *Dom pod Globusem. Dawna siedziba krakowskiej Izby Handlowej i Przemysłowej*, Kraków 1997; S. 126: MNK III-r.a-4780, domena publiczna; S. 127: Z. Beiersdorf, J. Purchla, *Dom pod Globusem. Dawna siedziba krakowskiej Izby Handlowej i Przemysłowej*, Kraków 1997; S. 129: z archiwum WL; S. 130: fot. D. Słowik. Ze zbiorów D. Słowik, 2023; S. 132: fot. D. Słowik. Ze zbiorów D. Słowik, 2023; S. 135: góra – z archiwum WL; dół – fot. B. Krupa. Z archiwum WL; S. 136: fot. K. Schubert, 2021. MIK, CC BY 4.0

Dołożyliśmy wszelkich starań, aby dotrzeć do autorów zdjęć publikowanych w niniejszej książce. Jeśli nie podano nazwiska autora fotografii, jest on nieznany.



ŚWIĘTUJEMY 25 LAT MAŁOPOLSKICH DNI DZIEDZICTWA KULTUROWEGO! POWSPOMINAMY RAZEM NIEKTÓRE Z CUDÓW, JAKIE UDAŁO NAM SIĘ ZOBACZYĆ.

ZAMÓW NA: MIK.KRAKOW.PL/SKLEP

Świeża, jednocześnie klasyczna propozycja, wymykająca się tradycyjnym definicjom: jest to swoista biografia gmachu, której udaje się uchwycić istotę ducha, jaki przez prawie pół wieku czynił i czyni wciąż tak bliski memu sercu krakowski pałac Pod Baranami adresem wyjątkowym.



wydawnictwo mik

JACEK WÓJCICKI

Opowieści o Krakowskim Domu Kultury Pod Baranami

ZAMÓW NA: MIK.KRAKOW.PL/SKLEP

TYGODNIK POWSZECHNY

Marek Bieńczyk
Wojciech Bonowicz
Anna Goc
Olga Drenda
Jerzy Jarniewicz
Magda Heydel
Eliza Kącka
Zbigniew Rokita
Jacek Podsiadło
Wojciech Jagielski
Adam Robiński
Marcin Napiórkowski
Tomasz Stawiszyński

W każdą środę najlepsza literatura



TygodnikPowszechny.pl/ksiazki

sprawdź

Organizator:

małopolski instytut kultury MIK INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO MAŁOPOLSKA

Patronat honorowy:

unesco
Polski Komitet do spraw UNESCO

Gospodarze:

- Europejskie Centrum Muzyki Krzysztofa Pendereckiego
- Miejski Ośrodek Kultury w Olkuszu
- Opactwo Cystersów w Mogile
- Parafia pw. św. Wojciecha i Matki Bożej Bolesnej w Modlnicy
- Rodzina Lorenzów z Michałowic
- Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Łysogórskiej „Krakus"
- Uniwersytet Jagielloński w Krakowie
- Wydawnictwo Literackie

70 Jubileusz Wydawnictwa Literackiego

MIEJSKI OŚRODEK KULTURY W OLKUSZU

KRAKUS Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Łysogórskiej

EUROPEJSKIE CENTRUM MUZYKI KRZYSZTOFA PENDERECKIEGO

UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI W KRAKOWIE

Współorganizatorzy:

CENTRUM KULTURY I PROMOCJI W MICHAŁOWICACH

Politechnika Krakowska im. Tadeusza Kościuszki

PZAZ ŁYSA GÓRA

Muzeum Cystersów w Mogile

UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI W KRAKOWIE

DĘBIŃSKIE CENTRUM KULTURY

DYSKRET

KOMPLEKSOWA OBSŁUGA INWESTYCJI

Partner medialny:

TYGODNIK POWSZECHNY

Partner publikacji:

ARCHIWA PAŃSTWOWE
ARCHIWUM NARODOWE W KRAKOWIE

ARCHIWA PAŃSTWOWE
NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Patroni medialni:

miasto dzieci

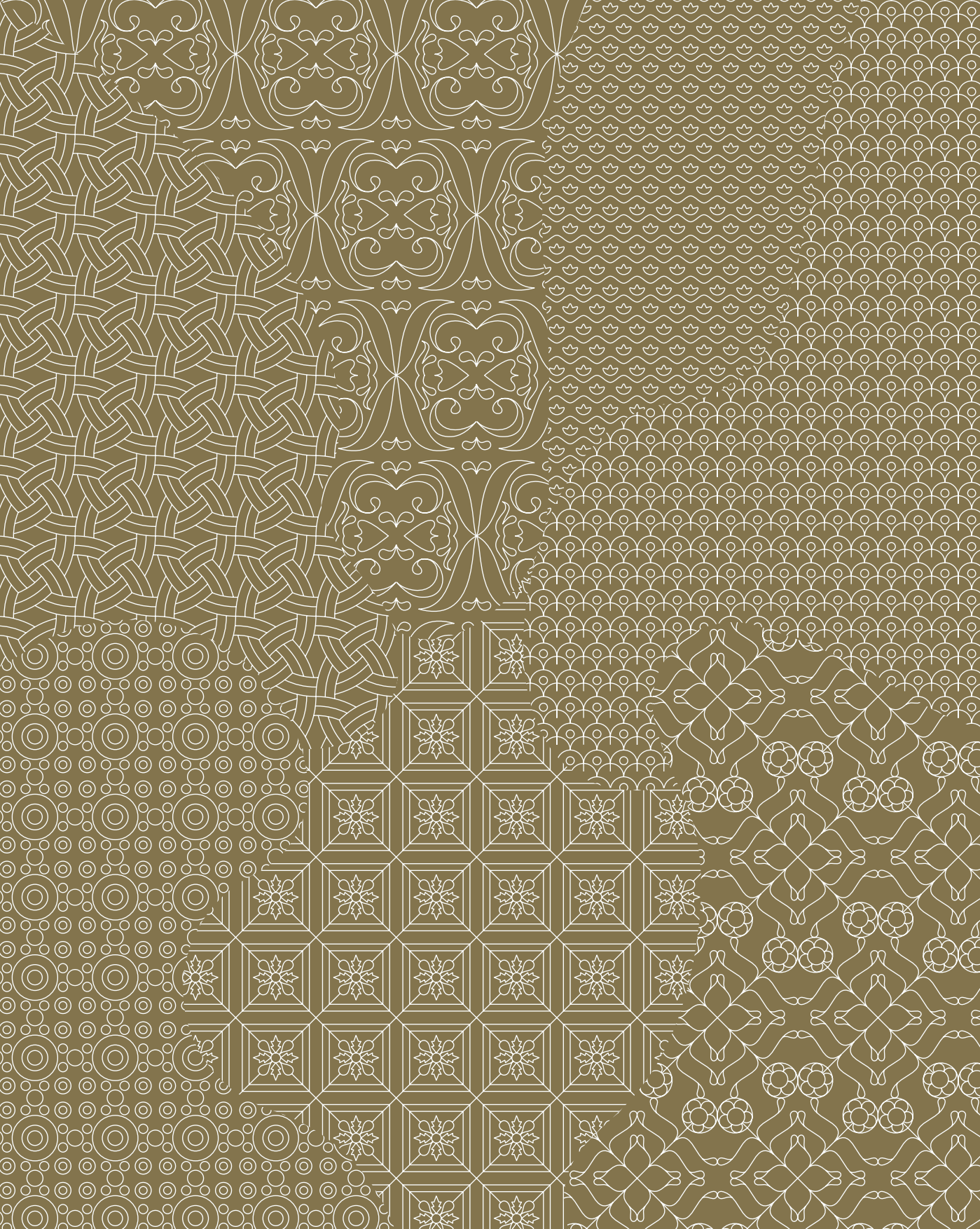
Radio Kraków

Małopolska

Kraków Culture KARNET

DZIENNIK POLSKI

TVP 3 KRAKÓW



ORNAMENT

Słowo „ornament” pochodzi z łaciny – *ornare* znaczy tyle co ozdabiać, stroić, ale też chwalić, sławić. W naszych uszach często pobrzmiewa jakoś tajemniczo, egzotycznie, zawiera w sobie wyobrażenie wschodniego bogactwa kolorów i form. Ornament nie jest jednak zwykłą ozdobą, skrywa bowiem bogactwo interpretacji, o czym przekonają się Państwo, czytając niniejszą książkę. Jest to antologia siedmiu tekstów znakomitych pisarek i pisarzy: Sabiny Jakubowskiej, Katarzyny Kobylarczyk, Jakuba Kornhausera, Radka Raka, Bartosza Sadulskiego, Barbary Sadurskiej i Dominiki Słowik, którzy – każde w charakterystyczny dla siebie sposób – mierzą się z zadanym tematem. Jak przez wieki każda z kultur wykształcała sobie tylko właściwe zdobienia lub zapożyczała je od innych kultur, twórczo je przetwarzając, tak też autorzy kreując własne światy, sięgają po historyczne tematy, wyciągają z nich poszczególne detale i układają kunsztowne zdobienia. Czasem są to misterne plecionki, czasem arabeski i groteski, przechodzące znów w płynną linię secesji. Tam, gdzie brak źródeł historycznych, albo jest ich niewiele, historia ustępuje miejsca wyobraźni.

Publikacja bezpłatna, nieprzeznaczona do sprzedaży
ISBN 978-83-61406-93-8